

NR 185 ROK XVII CENA 30 ZŁ

PL ISSN 0478-8718
Nr indeksu 37143

przemiiany

Przemiiany Obowiązkowy
WSP w Kielcach

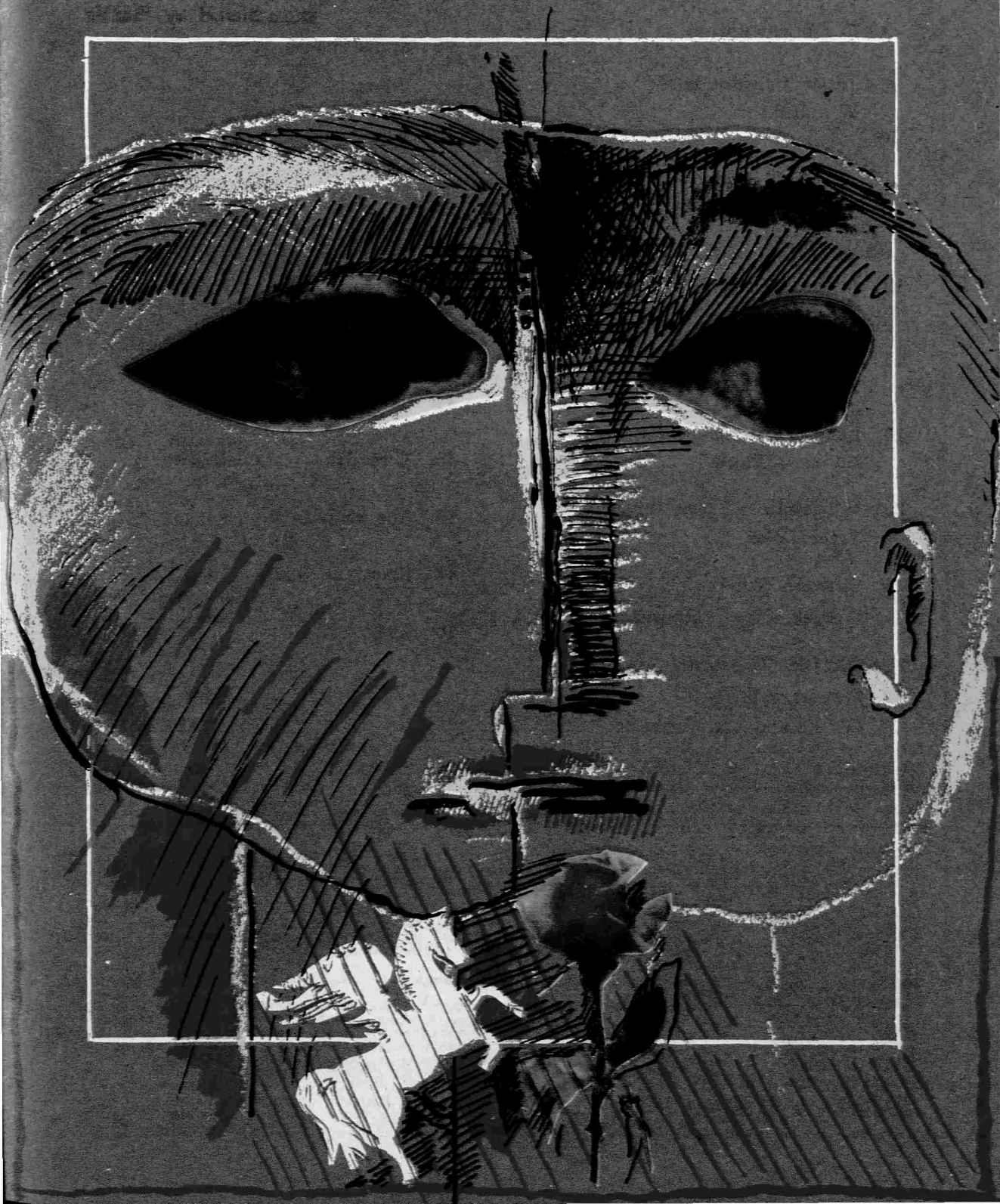
ob2522

ob

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY



KIELCE
MAJ 1986



W NUMERZE:

- | | | | |
|----|-------------------------------|----|----------------------------|
| 1 | Zbigniew Nosal | 32 | Marek Dudziński |
| | Tak i nie | | Okno, za którym deszcz |
| 4 | O szerszy dostęp | 36 | Stanisław Jedzok |
| 5 | Julita Twardowska | | Wiersze |
| | W matni | 37 | Teatr |
| 8 | Słowa wprowadzie Reja, ale... | 39 | Fotografika |
| 9 | Stanisław Stefaniak | 40 | Książki |
| | Spotkanie | 43 | Józef Rurawski |
| 12 | Renata Putzlacher | | A może byśmy coś powołali? |
| | Wiersze | 44 | Prosto z Wąchocka |
| 13 | Jadwiga Karolczak | 45 | Z różdżką i wahadłkiem |
| | Znikający punkt | 46 | Apteka natury |
| 16 | Longin Kaczanowski | 47 | Kronika |
| | Ludzie „Diabła” | 48 | Krzyżówka |
| 20 | Włodzimierz Laten-Janusiewicz | | |
| | Trzecie oko | | |
| 24 | Czesław Erber | | |
| | Wdzięk starych albumów | | |
| 28 | Józef Z. Głogowski | | |
| | Jeszcze w Szkocji | | |
| | (To Poland and Victory) | | |

Okładkę projektował
TADEUSZ MAJ

przemiany

**MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY**

ul. Śniadeckich 2
25-366 Kielce

Zespół: JERZY DANIEL (redaktor naczelny — tel. 489-91), LONGIN KACZANOWSKI, JADWIGA KAROLCZAK, URSZULA KENDRA (redaktor techniczny), ZBIGNIEW NOSAL (sekretarz redakcji — tel. 469-79), STANISŁAW RAMS, JULITA TWARDOWSKA.

Rada Redakcyjna: BOGDAN BETZ, TOMASZ GAJDA, prof. dr hab. WOJCIECH KALINOWSKI, dr HELENA KISIEL, TADEUSZ KUCHARZYK, WOJCIECH KOTASIAK, RYSZARD MIERNIK, STEFAN MŁODAWSKI, prof. MIROSLAW NIZIURSKI, doc. dr hab. JAN PACŁAWSKI (przewodniczący), MARIAN RUMIN, IRENEUSZ SKRZYŃSKI.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo ich skracania.

Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Kieleckie Wydawnictwo Prasowe w Kielcach. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne w Kielcach. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Prenumerata kwartalna — 90 zł, roczna — 360 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-950 Warszawa. Konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11.

Nakład 10 195
N-5

PL ISSN 0478-6718
Nr indeksu 37143

„Partia dąży do zapewnienia równości w dostępie do dóbr kultury wszystkich środowisk społecznych oraz do rozwoju aspiracji i aktywności kulturalnej ludzi pracy”.

(Z projektu Programu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej).

TAK I NIE

I. **K**ULTURA, jakby przynajmniej wynikało ze stałej obecności tej tematyki w życiu publicznym i społecznym naszego województwa, tudzież obejmujących coraz to nowe kręgi i środowiska poświęconych jej narad, konferencji i dyskusji, nie jest u nas lekceważona, ani spychana na margines. Dostrzega się i docenia jej znaczenie, jej ważność jako siły napędowej społecznego rozwoju, dostrzega potrzeby i niedostatki, deklaruje świadomość, że od rozwoju kulturalnego jednostek, w sumie więc całego społeczeństwa, zależy bardzo wiele, podkreślając nie bez słuszności, iż udział w życiu kulturalnym i jego współtworzenie czyni nasze życie bogatsze i pełniejsze. W przenośni, ale i dosłownie.

Tyle retoryka i deklaracje. Powszechnie przecież zgłaszamy i to nawet, często, wiele zastrzeżeń wobec funkcjonowania tej sfery społecznego życia, które to zastrzeżenia — jeżeli są uzasadnione, a nie ma powodu w to wątpić — powinny rodzić odpowiednie postulaty programowe dla polityki kulturalnej, zmierzające do zmiany sytuacji, jeśli nie od razu, to przynajmniej w najbliższej lub biorąc pod uwagę skomplikowane względy ekonomiczne, trochę dalszej przyszłości. Byłe nie była to przyszłość zbyt odległa.

Jakie są te zastrzeżenia?

Mówi się najwięcej i najczęściej o brakach kadrowych i niedostatkach tak zwanej kulturalnej bazy, skąpych fi-

nansach, zapóźnieniach technicznych, ale równocześnie o nikłym uczestnictwie społeczeństwa, jego różnych środowisk — zwłaszcza robotniczych i wiejskich — w życiu kulturalnym, o małej atrakcyjności tzw. kulturalnej oferty, zgłasza też uwagi wobec aktywności środowisk twórczych.

Czy wszystkie te zastrzeżenia, pretensje i negatywne oceny są słuszne? — zastanawiał się po przedstawieniu ich, wicewojewoda kielecki Wojciech Nosek, w swoim wystąpieniu na marcowym posiedzeniu plenarnym Komitetu Woje-

wódzkiego PZPR w Kielcach, i sam sobie udzielił odpowiedzi, że nie wyłącznie. Różnie bowiem można je interpretować. Każda ocena zależy wszak od punktu odniesienia i gdyby na przykład na możliwości uczestniczenia mieszkańców Kielecczyny w życiu kulturalnym spojrzeć z perspektywy innych, bardziej zaniebawianych ośrodków, a nawet krajów, mogłoby to być porównanie wręcz porywające, ale oczywiście nie o takie nader optymistyczne dla nas porównywanie chodzi. Wicewojewoda woli nawet przyjąć mniej korzystne opinie, bo po-

Zbigniew Nosal

zwalają ostrzej widzieć braki i zapóźnienia, dokładniej zobaczyć, jak mało środków i czasu przeznaczamy na kulturę, także zresztą w życiu codziennym, indywidualnym, a nade wszystko zmuszają do jeszcze większej mobilizacji sił i poczynić, do wytyczania większych niż w warunkach samouspokojenia, odważniejszych celów.

II.

Najpierw więc o tym, co umownie i nie najładniej nazywa się kulturalną bazą. Skorzystam z przygotowanej na plenarne obrady Komitetu Wojewódzkiego PZPR przez partyjną Komisję Kultury informacji omawiającej stan środowisk twórczych oraz instytucji i placówek upowszechniania kultury w województwie kieleckim dość wyrywkowo i — powiem od razu — tendencyjnie, wybierając niejasne i świadczące o osiągnięciach, potwierdzające nasz spory zresztą stan kulturalnego posiadania fakty, ale właśnie rzeczono niedostatki.

Nie dlatego, że chciałbym rozmyślnie pominąć oczywiste osiągnięcia, bądź zaciemnić ich obraz, lecz po to, aby wszystkim dobitnie uzmysłwić, jakie jeszcze bardzo wielkie mamy potrzeby i jakim jesteśmy pod względem kultury pełnym głębokich dysproporcji regionem.

Najwyrazistszym tego przykładem mogą być chyba same Kielce i cała reszta województwa.

Jeżeli 35 placówkom upowszechniania kultury znajdującym się w poszczególnych kieleckich osiedlach, 15 placówkom artystycznym z teatrami i filharmonią, 12 księgarniom, 8 galeriom sztuki, ponad 30 filiom bibliotecznym i 7 kinom stolicy województwa, przeciwstawimy 7 tylko miejsko-gminnych i 11 wiejskich domów kultury, 79 wiejskich i 6 miejskich świetlic, 17 stałych i 10 objazdowych kin oraz 19 księgarni istniejących w całej tej reszcie — zrozumiemy

miemy ogrom dysproporcji. A pewnie nie muszę dodawać, że idzie o kilka miast i 57 gmin, z których — jak na ironię — najgorzej właśnie pod kulturalnym względem widzieć się gminom z Kielcami sąsiadującym: Górną, Masłowowi i Miedzianej Górze oraz wsiom — choć to już inna sprawa — najbogatszym, żeby tylko wymienić Skalmierz, Złotą Pińczowską i Kazimierzę.

Prawie połowa kieleckich gmin nie ma ośrodków kultury, a w najtrudniejszych warunkach pracują tam świetlice, które najczęściej prowadzą ludzie z wykształceniem... podstawowym lub co najwyżej zasadniczym zawodowym.

Równie poważnym problemem ograniczającym rozwój działalności kulturalnej na wsi — cytuję wspomnianą informację — jest niski poziom wykształcenia ogólnego gospodarzy klubów. Niepokojącym zjawiskiem jest także brak zaangażowania inteligencji wiejskiej do społecznej działalności kulturalnej, zwłaszcza nauczycieli, których udział w pracy klubu, czy świetlicy byłby znakomitą kontynuacją procesu wychowawczego prowadzonego w szkole. Notuje się także bardzo nieznaczny udział organizacji młodzieżowych w pracach i działaniach wiejskich placówek.

Brak odpowiednich kadr nie dotyczy wyłącznie klubów, podobna sytuacja występuje we wszystkich prowincjonalnych, czy jak kto woli — terenowych, ale nie tylko, placówkach oraz instytucjach upowszechniania kultury. Przy czym godne zastanowienia, a może nawet wprost podjęcia jakichś zdecydowanych kroków jest to, że zaledwie połowa absolwentów istniejącego już dwanaście lat kierunku pedagogiki pracy kulturalno-oświatowej kieleckiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej pracuje zgodnie z ukończonymi studiami. To jakby reguła, która potwierdza wyjątek: absolwenci wychowania muzycznego tej samej uczelni niemal

wszyscy pracują w szkołach, ucząc muzyki.

III.

Obok tych kłopotów, najważniejszym problemem są pieniądze, a właściwie ich brak. Z budżetu — mówił na plenum Wojciech Nosek — wystarczy zaledwie na podtrzymywanie istnienia instytucji i placówek, nie ma już natomiast na ich działalność merytoryczną, a więc na to, co jest ich właściwym celem, no i całym ich utrzymywaniem sensem. Ograniczenie dotacji grozi w przyszłości likwidacją niektórych placówek. Groźba zawieszenia działalności wisi nawet nad kieleckim teatrem i filharmonią.

Jak temu zaradzić? Gdzie szukać rozwiązania?

Dotacje z Centralnego Funduszu Rozwoju Kultury są w tym roku niewystarczające, pozostaje szukanie innych, ustawowo przewidzianych źródeł, więc w nadwyżkach budżetowych, funduszach gmin, dobrowolnych opłatach i datkach z zakładowych funduszy socjalnych państwowych fabryk i zakładów pracy. Słusznie i bardzo zdecydowanie na marcowym kieleckim plenum przypomniano, że socjalistyczny zakład pracy ma w swoich obowiązkach nie tylko zadania gospodarcze, winien także troszczyć się o potrzeby kulturalne i zaspokajanie tych potrzeb swoim załogom i ich rodzinom. Zasilanie się sławnymi trzema „s” nie ma sensu, nie może i nie powinno być przeciw takim obowiązkom a więc i wydatkom argumentem, skoro zarówno cytowany na początku tego tekstu projekt Programu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, jak i tezy Komitetu Centralnego PZPR uważają upowszechnianie kultury — podkreślali to dość często występujący na plenum członkowie partii — za jeden z podstawowych celów polityki, mający służyć umacnianiu w społeczeństwie socjalistycznego systemu wartości. Wielu też mówiło, że upowszechnianie oświaty i kultury jest warun-

kiem rozwoju społeczeństwa, a także i po drodze warunkiem zwiększenia wydajności pracy, a co za tym idzie warunkiem rozwoju gospodarczego kraju.

Zabrzmiało wstępniakowo? Możliwe. Ale to prawda.

IV.

Paradoksalne, ale jakby na przekór wszystkim tym finansowym, kadrowym i fizycznym z bazą dla kultury kłopotom, to co już istnieje i działa, wydaje się nie do końca i nie w pełni wykorzystane. Dał temu m.in. wyraz dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Kielcach, Wojciech Szymanowski, który przedstawiając na plenum biblioteczne problemy w województwie („należałoby utworzyć w najbliższych latach 35 filii w osiedlach miejskich, 90 we wsiach liczących ponad 1000 mieszkańców, 12 bibliotek dla dzieci, przynajmniej 3 filii dla ludzi niepełnosprawnych, szczególnie niewidomych oraz 29 czytelní”), napomknął, że co piąty mieszkaniec Kielecczyzny (z czego 37 proc. to dzieci w wieku do lat 4) korzysta z publicznych bibliotek i że to niby dobrze, chociaż bardzo żał, że tylko co piąty. Trwożył się natomiast bardzo sytuacją profesor Mirosław Niziurski pytając dlaczego mimo dość przecie korzystnych warunków jakie mamy w Kielcach, sale koncertowe i teatralne świecą pustkami, dlaczego nie ma zainteresowania wystawami plastyki i fotografiki, młodzież słucha ogłupiającej muzyki zatykając uszy przy Beethovenie, a w bibliotekach, zamiast dzieł wartościowych, największym wzięciem cieszą się kryminały.

— Dlaczego tak niski jest poziom ogólny kultury naszego społeczeństwa i tak niski stopień wrażliwości artystycznej? — pytał dramatycznie profesor i próbował od razu dać na to pytanie odpowiedź:

— Przyczyną jest całkowity brak zainteresowania sprawa-

mi kultury i sztuki na niższych szczeblach zarządzania, w zakładach pracy, w szkołach, w kolektywach. Nikt na dobrą sprawę — mówił — od nauczyciela szkoły wiejskiej po profesora szkoły wyższej, od dyrektora do mistrza nie docenia, nie rozumie roli kultury w wychowaniu dziecka, w kształtowaniu charakteru młodzieży, w życiu chłopca, robotnika, czy inteligenta. Uderzmy się jednak w piersi — dodał. — Jak często na zebraniach partyjnych dyskutujemy, mówimy o sprawach kultury i jej wpływie na rozwój i kształtowanie postaw człowieka? Jak często organizacje partyjne inspirować kierownictwa zakładów pracy, rady robotnicze, związki zawodowe do zajęcia się problemami polityki kulturalnej w swoich zbiorowościach?

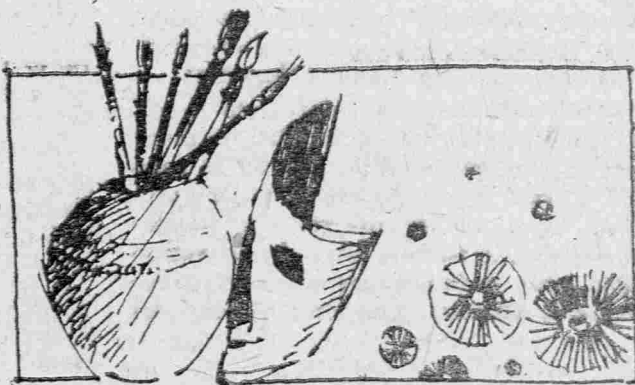
Wypowiedź prof. M. Niziurskiego, a właściwie jej sens, uwzględniono w uchwale plenarnego posiedzenia Komitetu Wojewódzkiego PZPR, obowiązującej wszystkie organizacje partyjne, tu chciałoby się jednak przywołać wypowiedź prof. Antoniny Kłoskowskiej dla „Polityki”, w której znakomita znawczyni tematu o podobnej do przedstawionej przez prof. Niziurskiego sytuacji powiedziała, że właściwie w ramach zasad demokracji trzeba dać ludziom to, czego pragną, jeżeli jednak dostarczyć im się „tylko takich wartości, jakie potrafią oni przyjąć bez najmniejszego wysiłku, to tym sa-

mym uniemożliwia się im rozwinięcie potrzeb potencjalnych...”, a „zamykanie ludzi w kręgu najłatwiejszych dróg i najprostszych rozwiązań ogranicza ich, nie wiąże się też chyba najlepiej z ideą demokratyzacji kultury.

W dyskusji wątku tego raczej nie podjęto. Mówiono przede wszystkim o upowszechnianiu w ogóle i warunkach, w jakich to upowszechnianie dóbr kultury się prowadzi, w mniejszym stopniu dotyczyła ona upowszechniania treści i ich artystycznej rangi, w zupełnie minimalnym środowisku twórczych. Tym sprawom poświęcili trochę więcej uwagi sekretarz KW Zbigniew Dulewicz w wygłoszonym na wstępie i cytowanym już przez prasę codzienną referacie oraz kierownik Wydziału Kultury KC PZPR Witold Nawrocki przypominający o konieczności uświadczenia sobie kim jest i jaki jest człowiek, któremu chcemy uprzystępniać określone dobra, a także konieczności poznania jego potrzeb i aspiracji. Nie wszyscy przecież muszą chcieć tego samego, społeczeństwo nie jest jednorodne. Wszystkie potrzeby, trzeba zaspokajać, ale równocześnie pamiętać, że różnym kręgom trzeba proponować odmienne, byle nie tandetne, dostosowane do ich poziomu wartości.

Niczego i nikogo nie wolno lekceważyć.

ZBIGNIEW NOSAL



O SZERSZY DOSTĘP

PARTIA będzie popierać rozwój masowego i aktywnego uczestnictwa społeczeństwa w dobrach kultury i przeciwstawiać się zjawiskom ograniczania tego uczestnictwa, w tym powodowanego narastaniem barier finansowych. Konieczne jest w związku z tym rozwiniecie form udziału w kulturze, finansowanych z funduszu społecznego, zwłaszcza bibliotek i domów kultury oraz większe wsparcie dla ruchu społeczno-kulturalnego. Należy uruchomić przedmiotowe dotowane, wartościowe, masowe serie książkowe, dostępne dla ludzi mało zarabiających. W celu usunięcia barier w dostępie do kultury i zapewnienia przystępnego wszystkim obywatelom Polski Ludowej prawa do uczestnictwa w kulturze niezbędne są:

- wprowadzenie do systemu edukacji wszystkich szczebli i rodzajów szkół (w tym zawodowych) tematów z wiedzy o kulturze oraz wychowania estetycznego;

- stworzenie i realizacja programów upowszechniania kultury i wychowania estetycznego całego społeczeństwa w środkach masowego przekazu i systemie instytucji kulturalno-oświatowych;

- aktywizacja działań partii, stronnictw politycznych, spółdzielczości wiejskiej, PGR, RSW „Prasa-Książka-Ruch”, resortów rolnictwa i oświaty na rzecz upowszechniania kultury na wsi oraz rozwoju instytucji jej upowszechniania;

- wzrost produkcji książek do 8 egz. na 1 mieszkańca w roku 1990, a także filmów pełnometrażowych do 50 w roku 1990, wzrost produkcji płyt i rozwój produkcji kaset wideo oraz sprzętu magnetowidowego, a także kamer do telerecordingu, przy jednoczesnej dbałości o zapewnienie poziomu książek i filmów sto-

sownie do potrzeb społeczno-wychowawczych;

- wzrost nakładów na kulturę możliwie uwzględniający potrzeby instytucji kultury w okresie zwiększających się aspiracji artystycznych i wzrastającej ilości czasu wolnego od pracy;

- rozwój sieci bibliotek, wzmocnienie kadry bibliotekarzy i zwiększenie księgozbiorów (jest to wspólny obowiązek resortów kultury, oświaty i wychowania oraz nauki i szkolnictwa wyższego);

- intensyfikacja pracy istniejącej i dostatecznie rozbudowanej sieci muzeów, aby podwoić liczbę zwiedzających.

Realizacja tych zadań wymaga przeformowania systemu kształcenia kadr dla upowszechniania kultury w celu dostosowania go do realnych potrzeb, wspierania rozwoju ruchu społecznego w kulturze, m.in. towarzystw regionalnych oraz robotniczych i wiejskich towarzystw kultury, rozlicznych form ruchu amatorskiego, w tym twórczości ludowej.

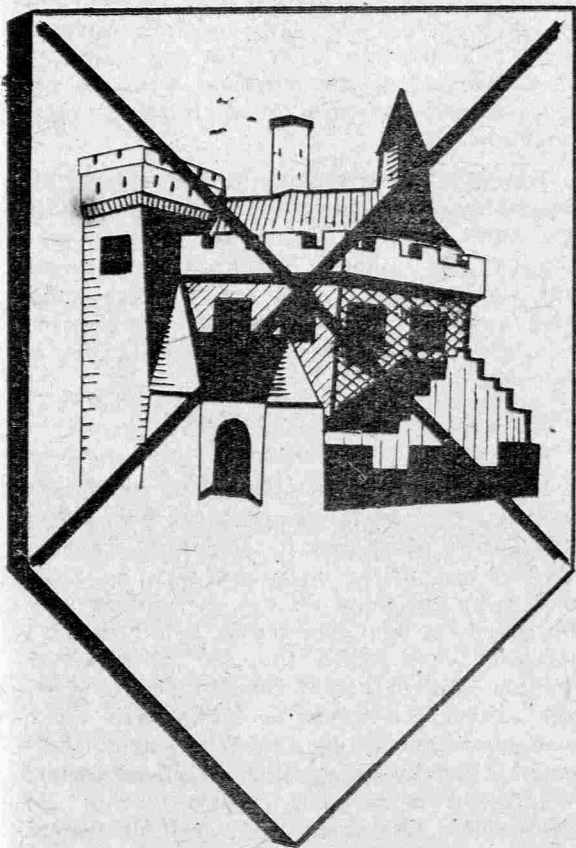
Partia będzie harmonizować formy współpracy ze stowarzyszeniami twórczymi, organami doradczymi, a zwłaszcza z Narodową Radą Kultury, odpowiednimi ogniwami PRON oraz aktywnym ruchem społeczno-kulturalnym.

Dla wzbogacenia praktyki życia kulturalnego należy rozwinąć badania empiryczne i refleksję teoretyczną nad kulturą w ośrodkach polskiej humanistyki, a w szczególności w Akademii Nauk Społecznych i w Instytucie Kultury MKiS.

Partia prowadzić będzie walkę ideologiczną w sferze kultury w obronie socjalistycznego systemu wartości oraz dokonań kulturalnych realnego socjalizmu.

□

(Z Tez KC PZPR na X Zjazd partii)



Rys. Jan Hajnrych

Obrazek pierwszy

— Pan zniszczył zabytkowy mebel. To jest rzecz karalna — powiedział wojewódzki konserwator zabytków do użytkownika dawnego dworu.

Naczelnik gminy skinął głową, że też tak uważa.

A sprawca najpierw przyjrzał się miejscowej władzy, jakby ją widział po raz pierwszy, potem przeniósł wzrok na konserwatora i wrzasnął:

— Mnie będziecie straszyć prokuratorem? Mnie?! Parobkiem byłem w tym dworze, jak w 1946 roku kazali mi tu wejść, to mówili: „zniszczyć, co się da, żeby śladów po wielkich panach nie było”. A teraz o głupi mebel taka awantura? Jeszcze może do więzienia trafię, co?! Po moim trupie!

I złapał za siekiere.

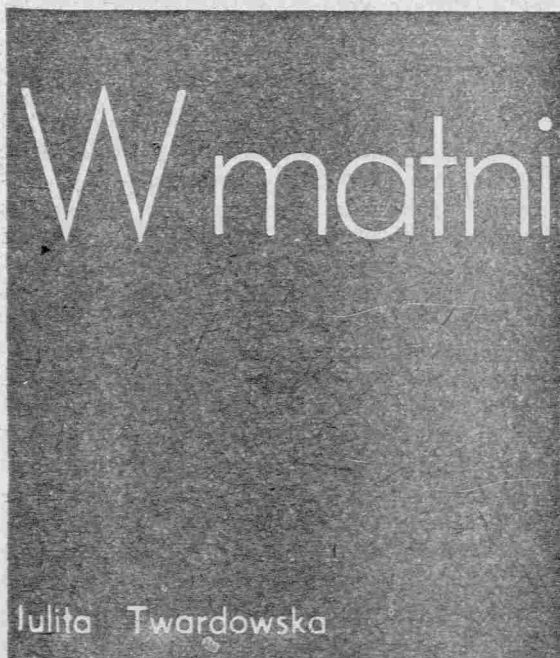
Naczelnik własnym ciałem osłonił konserwatora. Na szczęście był to już kulminacyjny punkt akcji i przewidywany ciąg dalszy nie nastąpił. Dawny parobek pozostał z siekiereą w górze, niczym uosobienie gniewu ludu na plakacie z minionej epoki. A nieproszeni goście wycofali się. Na wszelki wypadek tyłem. Tak się zazwyczaj z dworu wychodziło.

Obrazek drugi

Od osiemnastu lat pałac w Bładowie należy do Uniwersytetu Warszawskiego. Przejęty jeszcze za „zgrzebno-siermiężnych” czasów Władysława Gomułki, nigdy nie stał się luksusową rezydencją, nawet w okresie Wielkiego Snobizmu i szaleństw inwestycyjnych. Sił i środków nie stało, albo ochoty zabrakło.

Przez osiemnaście lat uczelnia nie zrobiła w pałacu nic, co skutecznie doprowadziło zabytek do ruiny. Kłopotliwa scheda ciąży „na stanie” jak wyrzut sumienia a splendoru żadnego nie dodaje, wręcz przeciwnie. I trudno się dziwić obecnemu rektorowi UW, że najchętniej rzekłby się tych „wspaniałości”. Oddałby i miałby spokój. Tylko po pierwsze — kto to weźmie? Zniszczony do cna obiekt, wymagający remontu i bardzo dużych już dziś pieniędzy? A po drugie — winni istniejącego stanu rzeczy powinni najpierw ponieść odpowiedzialność.

Swego czasu wojskowe grupy operacyjne wystąpiły z wnioskiem o skierowanie sprawy do prokuratora. Utknęło wszystko w martwym punkcie, gdy przyszło do rozmyślań — kogo oskarżyć. Cały dawny senat? Byłego rektora,



pełniącego akurat wysoką funkcję w administracji państwowej? Na razie pałac idzie w rozsypkę.

Obrazek trzeci

Dwór w Warpesach. Park, młyn, wozownia... Figuruje ten dwór nie tylko w rejestrze zabytków województwa łódzkiego ale także w Katalogu Zabytków Sztuki w Polsce. Z dokumentacji historyczno-urbanistycznej: „Twórcą projektu musiał być architekt wysokiej klasy, świadczą o tym wysmakowane proporcje i starannie wypracowany detal”.

Oprowadzali mnie kiedyś po Warpesach naczelnik gminy i przewodniczący GRN. Piękny dwór przedstawiał obraz nędzy i rozpacz.

— Niech pani nie otwiera tych drzwi, bo tam nie ma drugiej strony, odpadła — mówił naczelnik.

— Serce się kraje, kiedy człowiek widzi ślady świadomej dewastacji — ubolewał przewodniczący GRN. — No, choćby ta balustrada. Ją nie czas nadwerężył, ale ludzka złośliwość.

Basztę — póki się nie rozsypała — użytkownicy dworu traktowali jako... miejsce na gromadzenie węgla. Widziałam ślady palenia ogniska na wspianych ongiś parkietach.

Ludzka bezmyślność i złośliwość z motywacjami. Im większy stopień zniszczenia — tym większa szansa na rychłą przeprowadzkę. Najlepiej jakby się dach zawalił. Chyba władze gminy nie zostawiłyby ludzi pod gołym niebem? A po co łątać dach, skoro łatwiej przedstawiać wiadra i miednice i nie kalkulują się żadne nawet drobne naprawy...

— Kary za zniszczenia? Nie dałoby się ściągnąć grzywny. To bidota. Niewypłacalna. Trzy „koczujące” we dworze rodziny już wykwaterowałem. Pozostały jeszcze trzy — powiedział naczelnik. I dodał:

— Wszystko w tym dworze trzyma się „na słowo honoru”. Ściany, stropy. Jak jest wicher to ja myślę o Warpesach i chory jestem.

Obrazek czwarty

„My mieszkańcy „pałacu” w Turowicach zwracamy się z prośbą o remont. Jeśli w najbliższym czasie ten dom nie zostanie wyremontowany, to wszystkie rodziny zostaną bez dachu nad głową... Najgorszą sprawą są kominy, nie czyszczone od lat, gdyż strach się do nich dotknąć, bo w każdej chwili mogą się rozwalić, co stwarza ciągle zagrożenie pożarem. Sieć

elektryczna na strychu jest popsuta (pourywane przewody, rozbrojone puszki). Następna sprawa to popsute tynki... Chcemy zapewnić, że zobowiązujemy się pracować w czynie społecznym przy remoncie”. Pod spodem — osiem podpisów.

Ten list został wysłany dziewięć lat temu. Adresatem był wydział Urzędu Wojewódzkiego, który już nie istnieje, bo od tego czasu przeszedł co najmniej dwukrotną reorganizację. Korespondencja dość zawiłą drogą trafiła niedawno (!) do wojewódzkiego konserwatora zabytków, mgr inż. Jacka Kapusty. Przeczytał, zamyślił się.

— Nadal aktualne? — spytałam.

— Niestety — powiedział.

Nie pomogła nawet deklaracja czynu społecznego, choć rzadki to przypadek wśród użytkowników zabytkowych obiektów. Kłopot z Turowicami polega m.in. na tym, że zanim nastąpiłby kapitalny remont, z wymianą więźby dachowej włącznie, trzeba byłoby wykwaterować kilka rodzin. Przepisy zabraniają remontów obiektu z lokatorami w środku. Mieszkańców zastępczych w gminie brak. Gdzie ulokować mieszkańców dworu? W tej trudnej sytuacji chciałoby się powiedzieć: „gdziekolwiek”. W urzędowym żargonie istnieje termin: „dogęszenie”... Ale „dogęścić”, czyli dokwaterować do innej prywatnej rodziny, można tylko w przypadku klęsk żywiołowych: powodzi, pożaru itp. Tak mówią przepisy.

W turowickim dworze pożar grozi w każdej chwili. Ponura szansa. Jedyna?

Co nam zostało...

„Rozwój naszej historii z wielu przyczyn był taki, że aż po wiek XX z dworów wywodziła się cała, niemal kultura i sztuka: Rej, Kościuszko, Mickiewicz, Sienkiewicz i Żeromski; Chopin (po matce), Moniuszko, Karłowicz i Szymanowski; Hugo Kollataj, Kościuszko, Henryk Dąbrowski, Leleweł, Dezydery Chłapowski i Paderewski. Dla pejzaży polskich charakterystyczne były nie zamki i pałace, tylko dwory o dachach dwuspadowych, gontem krytych, zdobione od frontów na kolumnach daszkiem przykrytymi gankami. Tych dworów liczone około dziesięciu tysięcy, dzisiaj opiera się ruinie jedynie... sześćset. Wnętrza dworów — skarbnice polskości w księgozbiorach, dokumentach, zbroi, portretach, meblach uległy niemal całkowitemu rozproszaniu”. Tak pisał niedawno Jerzy Waldorff w „Polityce”.

Sześćset spustoszonych dworów w całym kraju.

Tyle zostało.

Przepada dorobek myśli i pracy wielu pokoleń.

Strachy na Lachy

Niszczy czas. Niewiele ludzie robią, by mu przeszkodzić. A jeszcze sami też niszczą. Prawie bezkarnie.

„Kto uszkodzi lub zniszczy zabytek podlega karze więzienia do lat 5 i grzywny. Jeśli sprawca działa nieumyślnie, podlega karze aresztu do 6 miesięcy lub grzywny...”

„Kto będąc właścicielem lub użytkownikiem zabytku nie zabezpieczy zabytku przed zniszczeniem, dewastacją lub uszkodzeniem podlega karze aresztu do 3 miesięcy lub grzywny...”

„Niezależnie od postępowania karnego lub karno-administracyjnego organa służby konserwatorskiej mają prawo przywrócić zabytek do poprzedniego stanu (...) na koszt sprawcy”.

To przepisy karne z wydanej w 1962 roku i do dziś obowiązującej ustawy o ochronie dóbr kultury i o muzeach.

Każdy z przytoczonych na wstępie „obrazków” podpada pod jakiś paragraf. I co z tego?

Rozmowa z wojewódzkim konserwatorem zabytków

— Zgadza się pan chyba, że brak sankcji rodzi bezkarność.

— Tak. Ja powinienem uwikłać się w mnóstwo procesów, tylko pewnie żadnego bym nie wygrał.

— Skąd ta pewność?

— Choćby z doświadczeń moich kolegów. Ale nie tylko. Proszę wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności. Zabytki są zazwyczaj administrowane przez państwo. Użytkownicy płacą czynsz, remont do nich nie należy. Zabytek popada w ruinę, bo nie remontowany. Odpowiedzialność spada na terenowy organ administracji państwowej. Zgodnie z przepisami naczelnik gminy powinien ponieść karę. Mam złożyć taki wniosek? Pomijam już tę subtelność, że organ administracji atakowałby w takim przypadku inny organ administracji, ale przecież naczelnicy są często też bezradni. Sprawa finansów, możliwości wykwaterowania lokatorów, wiele gmin nie ma nawet prywatnych grup budowlanych...

— A umyślne bądź nieumyślne niszczenie zabytków przez użytkowników?

— Lokatorami zabytkowych obiektów jest zazwyczaj wiejska biedota. Tu właśnie doświadczenia innych konserwatorów uczą, jaki może być ciąg dalszy. Umorzenie. Sąd uznaje, że czyn nie kwalifikuje się do kary pozbawienia wolności a grzywna jest nie do ściągnięcia.

— Czy kiedykolwiek korzystał pan z przepisów karnych, wynikających z ustawy o ochronie dóbr kultury?

— Raz.

— Z jakim skutkiem?

— Właściwie żadnym.

A wandalę drwią z prawa

Ta heroiczna, jednorazowa próba warta jest szerszego omówienia, choć dotyczy nie tylko zabytkowego dworu, ale i parku. Otóż w marcu 1981 roku wojewódzki konserwator zabytków zwrócił się do Prokuratury Rejonowej w Zwoleńsku „z uprzejmą prośbą o wszczęcie dochodzenia w sprawie nielegalnego wycięcia drzew w zabytkowym parku przydworskim w Woli Siennieńskiej”. Przed „prośbą” była wizja lokalna. Czteroosobowa komisja w składzie: wojewódzki konserwator zabytków, wojewódzki konserwator przyrody, przedstawiciel Wydziału Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego (taki był wówczas sztyt wydziału) oraz komendant posterunku MO w Sienniu — stwierdziła nielegalne wycięcie i wywiezienie 78 drzew. Słownie: siedemdziesięciu ośmiu.

Pięć miesięcy później naczelnik gminy Siennio, Wiesław Kozik pisze do dyrekcji Rejonowego Przedsiębiorstwa Melioracyjnego: „Na obiekcie Zespół Pałacowo-Parkowy w Woli Siennieńskiej w dalszym ciągu wycinane są drzewa w trakcie prac melioracyjnych bez żadnego uzgodnienia z wojewódzkim konserwatorem zabytków i tutejszym Urzędem Gminy”.

Mijają kolejne dwa miesiące i w październiku 1981 roku prokurator rejonowy w Zwoleńsku, Marian Mleczek, powiadamia o odmowie wszczęcia postępowania przygotowawczego. Z jakich przyczyn? Obaj konserwatorzy i wszyscy inni zainteresowani ze zdumieniem mogli przeczytać: „Stwierdzono, że kierownictwo budowy dokonało wycięcia drzew jedynie na trasach wytyczonych rowów i nie stwierdzono wycięcia drzew w zespole parkowym”.

Prokurator powinien wiedzieć, że w skład zabytkowego parku w Woli Siennieńskiej

wchodzą, tworząc nierozzerwalną całość: park otaczający zabudowania dawnego dworu, trzy kompleksy leśne, aleje wewnątrz i na granicach parku, staw oraz położone wewnątrz grunty orne, pastwiska i łąki.

Jakże więc nie stwierdzono wycięcia drzew w zespole parkowym, skoro komisja na własne oczy widziała świeże ślady i dokładnie przeliczyła pnie? A czy to kierownictwo budowy, czy kto inny dokonał nielegalnego wycięcia i kradzieży, to już organy ścigania powinny ustalić.

Owszem, znaleziono dwóch winnych. Prokurator poinformował, że do osobnego postępowania wyłączone zostały materiały w sprawie kradzieży dwóch metrów sześć, drzewa modrzewiowego, dokonanej przez pracowników Przedsiębiorstwa Melioracyjnego. Sprawcy stanęli przed sądem w Lipsku. Jak się dowiedziałam od pani prezes Sądu Rejonowego — obaj zostali skazani na karę po 10 miesięcy ograniczenia wolności, musieli opłacić koszty sądowe, uiścić tzw. nawiązkę na rzecz Urzędu Gminy w Siennie po 7.527 zł każdy oraz naprawić szkodę, co oczywiście nie oznacza, że przykleili ścięte drzewa do pnia, ale że zapłacili równowartość drewna.

Tylko, że to jedynie dwa metry sześć, modrzewia i dwóch winnych na otarcie łez. A wycięto nielegalnie dziesiątki drzew. I nie ma sprawy? Niestety. Choć stosownych paragrafów nie brak.

Ubogiego nie stać na rozrzutność

Powie ktoś: dla ratowania zabytków potrzebne są nie tyle przepisy karne, ile pieniądze. I będzie miał rację. Tym bardziej że przepisy już są. A pieniędzy wciąż mało.

W tym roku na remonty zabytkowych obiektów w województwie radomskim przeznaczono 81 milionów 500 tysięcy złotych. Z tego około 60 milionów pochłoną same tylko prace przy budynku popijarskim w Radomiu, byłej łaźni miejskiej oraz w Muzeum Wsi Radomskiej.

Nikt nagle z nieba nie sypnie dodatkowymi funduszami, trzeba więc umiejętnie gospodarzyć tym, co jest. Ale w takiej sytuacji każdy przejaw wandalizmu, czy choćby tylko bezzmyślności pogłębiającej jeszcze tragiczny stan zabytków powinien być zgodnie z przepisami karany. Bo kary w mniejszym lub większym stopniu, ale jednak odstraszają. I nie bez przyczyny chyba Ministerstwo Kultury i Sztuki zbiera obecnie dane na temat postępowań karnych dotyczących zabytków.

Waldorff w cytowanym już felietonie pisał: „należałoby prokuratorom wbić do głów, iż nie może być większej szkody dla ziemi zwanej Polską, nad pozbawienie jej zabytków historii, jakakolwiek ona była — dobra czy zła — gdyż to była historia polska a pozbawiony jej naród przestanie być w ogóle narodem”.

Cóż więcej dodać?

JULITA TWARDOWSKA

Słowa wprawdzie Reja, ale...

NIE tylko słowa, ale całe zwroty, więcej — niemal całe zdania. Ale tylko tyle wspólnego z autorstwem Reja ma tekst, który w poprzednim numerze przedstawiliśmy jako rzekomy jego testament odnaleziony niedawno w Nagłowicach. „Testimonium” powstało bowiem nieczym układanka z fragmentów zdań zaczerpniętych z utworów Reja, przede wszystkim zaś z jego „Żywota człowieka poczciwego”. Rzecz cała została wygotowana w redakcyjnej kuchni, a myśl o niej zrodziła się w związku z przygotowaniem kwietniowego wydania pisma. Jesteśmy głęboko przekonani, że nasi Czytelnicy wykazali czujność i bez trudu rozszyfrowali tę, po-

daną w otocze naukowej powagi, mistyfikację, która sama w sobie była żartem, niemniej jednak stanowiła zarazem przypomnienie pewnej, nie rozwiązanej do dziś kwestii dotyczącej Reja. Ale o tym za chwilę.

Przepraszamy wszystkich, a szczególnie i specjalnie przepraszamy Pana Profesora Wacława Urbana, którego autorytetu użyliśmy dla dodatkowego uprawdopodobnienia naszej relacji z odkrycia. Czujemy się odrobinę rozgrzeszeni bowiem wprawdzie, co oczywiście, na temat owego „Testimonium” z Panem Profesorem nigdy nie rozmawialiśmy, ale kilkakrotnie podczas wizyt Profesora w redakcji, której jest dawnym współpracownikiem, wra-

caliśmy do Reja. Mówiliśmy o tym że miejsce jego ostatniego spoczynku nie jest znane. Pewne przesłanki kierują uwagę ku dwóm miejscom. Mówi się, że być może został pochowany w Rejowcu na Chełmszczyźnie, mieście przez siebie założonym, a może w założonej przez siebie Oksie, za czym przemawiają następujące poszlaki. Po pierwsze: w dziełku Andrzeja Trzecieckiego — co przytaczaliśmy przed miesiącem — „Żywot i sprawy Mikołaja Reja...” w zakończeniu znajduje się zdanie: „Tamże w tej Okszy, którą sobie fundował i kościół zbudował, powiadał, iż miał wolę swe kości położyć”, a dwa: sprawa obyczajów kalwińskich. Otóż Rej, będący jak wiadomo kalwinem, ufundował w Oksie zbór kalwiński. Kalwińskim obyczajom odpowiada, aby fundator był chowany w prezbiterium wzniesionej przez siebie świątyni.

Nie wiemy, gdzie spoczywa Rej; czy nigdy się nie dowiemy?... □

SPOTKANIE

Stanisław Stefaniak

STEFAN Staszewski pochodzi z Sandomierza, mieszka w Kielcach. Ryszard Grudziński urodził się w Kielcach, teraz pracuje w Sandomierzu. Pierwszy raz spotkali się ze sobą w 1948 roku ale stało się to nie w Kielcach i nie w Sandomierzu, nawet nie w województwie kieleckim, ale zupełnie gdzie indziej, bardzo daleko, na zachodnim skraju Polski, w Niemodlinie, między Nysą i Opolem. Mieli wtedy po 17 lat. Trzy lata po wojnie wypisali się przed wakacjami ze swoich gimnazjów w Kielcach i Sandomierzu, a po wakacjach, we wrześniu, stawili się w nowej szkole, której w pierwszych latach brakowało uczniów miejscowego pochodzenia. Uzupełnienie przyszło także ze środka kraju. Stefan i Ryszard pojechali tam z namowy i wyrachowanej perswazji rodziców. Dyrekcja nowej, odległej szkoły, obiecywała stypendia, bezpłatny internat, a nawet odzież z UNRRY. W domach było biednie, jak to po wojnie i ciężkim froncie. Ten internat, stypendium i darmowa odzież to była dobra okazja i nadzieja na lepsze życie obu chłopaków i ich rodzin. W Niemodlinie długo trzymali się, prawie kurczowo, razem, póki mocniej nie zaprzyjaźnili się z innymi uczniami. Łączył ich przecież ten wspólny kawałek Polski, w którym dotychczas byli i żyli.

Szkoła była ogromna. Mieściła się w jakimś zamku dawnych książąt niemieckich. Wokół roztaczał się duży ogród z obiektami sportowymi, z ujeżdżalnią koni przysposobioną naprędce na salę gimnastyczną i budynkiem dla służby, który bez większych przeróbek zamieniono na bursę. Obok stały chlewnie i obory. Już pierwszego dnia pod wieczór posłyszeli ryki i kwiki. A więc obiekty gospodarskie nie były puste. Nazajutrz od starszych kolegów dowiedzieli się, że obory, chlewnie, kurniki, bydło, tuczniaki i kury należą do inwentarza szkolnego, a w bli-

skiej odległości szkoła uprawia parędziesiąt hektarów ziemi. W październiku obaj z całą klasą kopali tam ziemniaki.

Stefan i Ryszard nie czuli się zawiedzeni i oszukani, że nie dostają stypendium i odzieży, a tylko zielone koce z demobilu. Wy tłumaczono im, że stypendium pokrywa koszt internatu, co znaczyło, że dyrekcja pieniędzy uczniom nie wypłaca, a uczniowie z kolei nie muszą płacić za państwową stancję.

Trzy lata minęły jak z bicza strzelił. Po maturze w 1950 roku rozjechali się w różne strony. Stefan do Warszawy, na politechnikę, a Ryszard do Akademii Medycznej w Krakowie. Nigdy do siebie nie pisali, ani razu w ciągu studiów nie zetknęli się nawet podczas długich wakacji. Ta wielka przyjaźń z Niemodlina, wyrosła i wypielegnowana na nostalgii i tęsknocie do wspólnych okolic, pomału przyblakła i przygasała. Weszli w nowe otoczenia i środowiska. Potem, po studiach, dostali pracę, założyli własne rodziny, urządzili się w swoich nowych domach. Nawet im w myślach nie zaświtało, że znów, jak do 17 roku życia, są blisko siebie, tylko w zamienionych punktach — Stefan w Kielcach, a Ryszard w Sandomierzu. Może nawet nieraz otarli się o siebie na chodniku w którymś z tych miast, a może nawet i w jednym, i w drugim, bo Stefan regularnie odwiedzał starych rodziców w Sandomierzu, a Ryszard często przyjeżdżał do chorej matki w Kielcach. Jeździł tu regularnie, do tej swojej „mamulki”, jak o niej mawiał w Niemodlinie, z synowskiej powinności i z lekarską posługą. Jak ta kobiecina cieszyła się z tych wizyt.

Rysiek leczył ją do końca. A kiedy już trzeba było starą Grudzińską zabrać do szpitala, zgodziła się na to pod warunkiem, że będzie to szpital syna, w Sandomierzu. Tam zmarła.

Stefan był w Sandomierzu przynajmniej raz w miesiącu. Zwykle zjawiał się w sobotę po południu, a w niedzielę wieczorem wracał do Kielc. Kiedyś letnią porą zatrul się na chrzcinach u siostry sfermentowana oranżadą. Tak go rwało i męczyło, że ledwie dowlóknął się do przychodni zdrowia. W gabinecie lekarz zapytał:

— Ma pan u nas swoją kartę zdrowia?

— Nie ma tu żadnej mojej ewidencji, jestem w Sandomierzu gościnnie, mieszkam w Kielcach, tam jest moja karta zdrowia.

— Nazwisko?

— Staszewski.

— Staszewski? Staszewski? Może Stefan?

— Tak, Stefan Staszewski.

— A gdzie pan robił maturę?

— W Niemodlinie, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym.

— Ran boskie, Stefan, po tylu latach znowu się spotykamy. Nie poznajesz mnie? Grudziński. Ryszard Grudziński jestem. Tyś się strasznie zmienił. Bardzo źle wyglądasz. Co ja mówię, to chyba przez te spracze. Staro, nie widzieliśmy się chyba od trzydziestu lat.

— Trzydzieści sześć.

— Co trzydzieści sześć?

— Tyle lat minęło od naszej matury.

— A tak, rzeczywiście, 1950—1986. Musimy się spotkać, pogadać, powspominać o kumplach i znajomych. Może wpadniesz do mnie wieczorem, znajdzie się jakaś butelka, żona przygotowuje zaka... Co ja mówię... ty z tą swoją biegunką przesiedziałbyś cały wieczór w łazience. Dam ci trzy dni, dam ci nawet pięć dni zwolnienia, masz tu przecież rodzinę, a jak dojdiesz do siebie, zadzwon do mnie, umówimy się, posiedzimy, pogadamy. Może cię podwieźć?

Doktor Ryszard Grudziński nie musiał owozić swojego niezwykłego pacjenta. Sandomierz, miasto nie takie znowu rozległe, żeby w pięć minut, nawet na słabych nogach, nie przejść z jednego końca na drugi. Po trzech dniach, po telefonicznym przygotowaniu, już całkiem wyleczony ze skutków zatrucia, Stefan przystanął przed furtką z tabliczką: „Krystyna i Ryszard Grudzińscy”. Za furtką spory ogród, a w ogrodzie piękna willa.

— Nie wiedziałem, że mieszkasz we własnym pałacyku, a nie w bloku.

— To taki sobie mały domek, może raptem 120 metrów kwadratowych, jako tako urządzone. Po tylu latach rzetelnej pracy powinno się coś mieć.

— Nie czaruj, Rysiu, nie bałamuć kolegi, mów otwarcie, że ten nasz dom wziął się głównie z sadu twojego teścia. No powiedz, ile masz z przychodni i z dyżurów w szpitalu? Robotnik na prywatnej budowie więcej od ciebie zarobi.

— Daj spokój, Krysiu, to nie temat na rozmowę z takim rzadkim gościem. Powiedz Stefan, co u ciebie słychać? Co robisz? Jaką masz rodzinę? Jak ci się wiedzie?

— Skończyłem Politechnikę Warszawską. Jestem inżynierem mechanikiem. Pracuję w państwowej fabryce.

— Jako dyrektor?

— Na znacznie niższym stanowisku. Mnie nigdy nie nęciły wysokie fotele, a poza tym przez długie lata nominacje dyrektorskie — co ci będę tłumaczył — nie zależały od kwalifikacji, lecz układów.

— Ile zarabiasz?

— Nie narzekam. Starcza na życie, tym bardziej że żona też pracuje a dzieci, syn i córka, są już na swoim utrzymaniu.

— Masz samochód?

— „Malucha”.

— Tylko?

— A ty czym jeździsz?

— „Audi”.

— Też by jeździł maluchem — zauważyła pani Krystyna — gdyby nam tata nie dopomógł.

— O czym my tu wciąż mówimy... Twoje zdrowie, Stefan... Kogo pamiętasz z Niemodlina?

— Z profesorów — Hefajstosa, czyli łacinika, Przylibskiego, Piekutowicza od fizyki, matematyka Lisowskiego... Zaraz, zaraz, jak się nazywała nasza polonistka, taka sympatyczna, gruba pani, chyba Chrustowa, tak... Justyna Chrustowa. A z kolegów Zawadzaka, Segięta, Felka Zduniaka, Styczyńskiego, Bolka Gromadkę, Emila Pustelnika, z dziewczyn Krysię Malinowską, Zytę Tutalowicz, Anię Wierzbicką. Kto tam jeszcze był w naszej klasie?

— Był jeszcze Kowalewicz, Zuczonkow, Chrzanowski, Pszańowski, Kinderman.

— Kinderman nie mieszkał w internacie, dojeżdżał z Grodkowa na rowerze. Był jeszcze Piotrek Dunajski i Jurek Seweryński. O nich nie można przecież zapomnieć. Obaj pochodzili z Katowic. Jeden lepszy od drugiego, ale nie w nauce, lecz w figlach i wygłupach. Pamiętasz, jak Seweryński w jedną noc przepisał z cudzego zeszytu wypracowania z języka polskiego z całego półrocza?

— Jak to było, nie pamiętam.

— To był małkut. Wszystko robił lewą ręką, ale w szkołach każdy uczeń musiał pisać prawą. Sewer, bo tak go nazywano, pisał i lewą, i prawą. Te wypracowania przepisywał na przemian — jedną kartkę lewą, drugą kartkę prawą. Pismo miało pochyłe. Z lewej ręki na na lewo, a z prawej na prawo. Po rozłożeniu brulionu ta pisanina układała się bardzo śliczną jodelkę. Jak ten zeszyt zobaczyła pani Chrustowa, niemal zachłysnęła się śmiechem.

— Seweryński, co to za pismo?

— Moje.

— A dlaczego na jednej stronie jest inne, niż na drugiej?

— Bo raz piszę lewą, a raz prawą ręką.

— Chodź do tablicy i pokaż jak to robisz.

A jak pokazał, pani Chrustowa razem z całą klasą śmiała się jeszcze głośniejsze.

— Ale moim zdaniem, Stefan, w tej szkole rzadko nam było do śmiechu.

— Dlaczego?

— Czasy były niewesołe, raczej ponure.

— Patrzysz na tamte lata z dalekiego dystansu, z pozycji starszego, doświadczonego człowieka, a do ocen dobierasz współczesne miary i kryteria. Wtedy wszystko widziało się inaczej. Było jak było.

— Ejże, czy wtedy wydawało ci się, że tak być powinno, gdy wyrzucano ze szkoły Jurka Pszańowskiego tylko dlatego, że nie chciał zapisać się do ZMP? A jaki to był zdolny chłopak. Może zapomniałeś, jak szef szkolnej organizacji młodzieżowej brał za wrośców Polski Ludowej chłopaków, którzy na apel nie śniwali. „Nie napięć nam wybrzeże dać”. Nie przypuszczali, że przewodniczący to zauważy. Stał przecież daleko z tyłu. A on zorientował się po uszach. Wyjaśnił, że jak ktoś śniwa to poruszają się wszystkie mięśnie twarzy, nawet uszy. — A wasze uszy — krzyczał — ani razu nie drgnęły. Zapomniałeś jak obchodzono się z dziećmi chłopów pozostających poza spóldziel-

niami produkcyjnymi. Nie pamiętasz jak musieli zobowiązywać się, że przekonają rodziców do tej wyższej formy gospodarowania?

— To był klasyczny lewak, ortodoksyjny rewolucjonista, zbyt dosłownie i raptownie przyjmował nowe doktryny, poglądy i światopogląd.

— Był to największy łobuz, cwaniak, spryciarz i wredny karierowicz. Wiesz dlaczego był taki czerwony, czerwienisz się od szturmówki? On chciał po prostu dostać się na studia bez egzaminu, ze świadectwem przodownika nauki i pracy społecznej.

— Uczył się nieźle.

— Nie tak dobrze jak ty, na przykład. A miałeś takie świadectwo?

— Nic się nie stało, że on dostał się na uczelnię bez egzaminu, a inni po egzaminach.

— Nic się nie stało? To powiem ci jeszcze, że ten rewolucjonista w 1956 r. agitował za likwidacją PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych, a w 1981 r. znalazł się w pierwszej linii ekstremy „Solidarności”.

— Coś się uczeplił tego polityka od siedmiu boleści, pies z nim tańczył, nie psuj mi wspomnień z młodych lat. Było jak było. Moim zdaniem całkiem znośnie. Po wojnie chciało się żyć, pracować, uczyć. Świat jakby się na oścież otwierał. Ile w nas było zapału. Cała szkoła, jak na komendę, pognęła w wakacje do Mogiły budować Nową Hutę.

— A wiesz kto z naszej szkoły nie znalazł się w formacji SP na placu tej socjalistycznej inwestycji?

— Kilku chorowitych uczniów.

— Przewodniczący Zarządu Szkolnego ZMP też tam nie pojechał, ponieważ załatwił sobie zaszczytną pracę wychowawcy na kolonii letniej, za całkiem dobre wynagrodzenie. A inni przywieźli z Mogiły blaszane odznaki i naderwane mięśnie. Twoje zdrowie, chłopie!

— A przypominasz sobie kurs repolonizacyjny dla niemodlińskich autochtonów? Poszliśmy razem dla kawału zapisać się na ten kurs. Młodziutka nauczycielka przyjęła nas nadzwyczaj życzliwie, nie podejrzewając żadnego podstępu. Podając jakieś zmyślane nazwisko, z pozorowaną nieśmiałością i zażenowaniem wyjawiliśmy swoją całkowitą nieumiejętność pisania po polsku. Trzeciego dnia wezwała cię do tablicy. Kazała ci napisać: „Niemodlin polskie miasto”.

A ty napisałeś „Niemodlien polski miastto”. Za parę dni wywołała mnie:

— Pan napisze na tablicy: „Polska Ludowa wróciła na Zachód”.

— Znakomicie. To może jeszcze napisze pan: „Po wiekowej niewoli ziemia nad Odrą i Nisą powróciła do Macierzy” (wtedy Nysa pisało się jeszcze „Nisa”). Zadanie wykonałem z rozmachem, szybko, bez żadnego błędu. Zapomniałem gdzie jestem i jaką gram rolę. Z hukiem wyrzucono nas z tego kursu.

— A pamiętasz Arka Bożka?

— A jakże, pamiętam. Przyjechał kiedyś do Niemodlina na wiec. Cały rynek wypełniły tłumy. Przemawiał długo, chrapliwym, tubalnym głosem. Był to człowiek jak wielka góra. Mówił śląską gwarą, dość niewyraźnie i niezbyt poprawnie, ale ludzie słuchali go z wielką uwagą i w skupieniu. To była legenda województwa śląsko-dąbrowskiego.

— A kto był mecenasem, opiekunem i dobroczyńcą naszego gimnazjum?

— Może sądzisz, że nie pamiętam? Często przyjeżdżał do naszej szkoły w generalskim mundurze, wielką czarną limuzyną. Był drobny i szczupły. Wyglądał młodo, niemal młodzieńczo. Zawsze uśmiechnięty. Tak zapamiętałem wojewodę śląsko-dąbrowskiego gen. Aleksandra Zawadzkiego.

— Był w naszej szkole, chyba w młodszej klasie, zuchowaty i bystry Orzechowski. Nie pamiętam, jak miał na imię. Mariusz? Mirosław? Marian?

— Rzeczywiście znajome nazwisko. Imienia też nie pamiętam. Może Mirek, może Marian?

— Może.

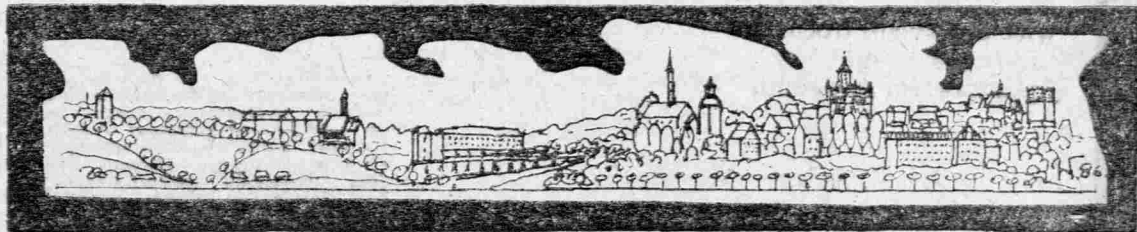
— To byłby jeden z tych, którzy zaszli najdalej i wspięli się najwyżej.

— Lecą lata, lecą. Porwały się między nami związki i kontakty. Rozsyпалиśmy się po całym kraju i po świecie. Za młodych lat byliśmy tak blisko siebie, przy jednym stole, w jednej ławce. A dziś możemy sobie z trudem przypomnieć zaledwie kilka nazwisk. No to za zdrowie koleżanek i kolegów. Którzy jeszcze żyją.

□

STANISŁAW STEFANIAK

Fakty, zdarzenia i sytuacje są autentyczne. Na życzenie głównych bohaterów zmienione zostały tylko ich nazwiska i adresy.



Renata Putzlacher

Krakowowi

Boję się ciebie
miasto
tam za murami czyha
WIELKA NIEWIADOMA
Trzymam nogi
na smyczy rozsądku
już pędzę
Może rozbije łeb
na szarym bruku
może zbuduję ołtarz
jak wielki Stwosz

Zimowy list

Miałam wam tyle powiedzieć
że Planty przypominają
kongres wat cukrowych
że ulepiłam bałwana
i przez niego oblałam
kolokwium
że czuję się jak sopol
w lodowni pokoju
a sąsiadkę pogryzł
jakis kundle
że facet o psychologii
straszy mnie we snach
no a teraz śpieszę się
na wykład
więc przesyłam trochę
tutejszego śniegu
i pozdrawiam serdecznie

Obcinanie roзумu

Dzisiaj we śnie
gonił mnie szalony
fryzjer
i szczękiem nożyc
zwiastował
ponury obrządek
postrzyżyn
A ja ciągnęłam
za sobą warkocz
resztką sił



Rys. Monika Chrzęszcz

Publikowane w tym numerze wiersze i towarzyszące im grafiki są autorstwa twórców z kręgu Sekcji Literacko-Artystycznej Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czeskim Cieszynie. Pismem PZKO jest miesięcznik społeczno-kulturalny „Zwrot”, z którym współpracę i kontakty utrzymuje nasza redakcja.

PAŃSTWO W. żyli długo i szczęśliwie w małżeńskim związku, który owocował dwójką układowych dzieci. Także pewną ilością dóbr materialnych i oszczędności. Postanowili, korzystając z pośrednictwa spółdzielni i odpowiednich kredytów, zbudować domek. Budowali — nadal zgodni i szczęśliwi — aż do momentu, gdy przyszła pora przeprowadzenia się z M-4 na nowe pokoje. Wtedy państwo W. dostarczyli spółdzielni pismo, stwierdzające „trwały rozkład” ich dotychczasowego pożycia. Na skutek rozwodu pani W. z córką zamieszkuje przestronne amfilady nowego domku, zaś pan W. — z synem — kontentuje się dotychczasowym M-4.

Rozwód państwa W. zbiegł się ze ślubem syna. Na uroczystościach weselnych obydwoje rodzice pana młodego tryskali radością, duch małżeńskiej zgody i pełnego zrozumienia unosił się nad stolami, tak że nikogo nie powinno zdziwić i to, że wkrótce potem pan W. zjawiał się z maszynką do golenia i szczoteczka do zębów u swej byłej żony, zostawiając nowożeńcom pełną swobodę w trzypokojowym mieszkaniu.

Wszakże licho nie śpi. Zawistni ludzie donieśli gdzie trzeba, że państwo W. dzięki sprytniej, rozwodowej sztuczce wyposażyli syna w mieszkanie i sami zażywają komfortu zgola niezwyčajnego, podczas gdy większość ludzi w ich sytuacji gnieździ się pod jednym dachem, potyka o siebie we wspólnej łazience, traci apetyt we wspólnej kuchni. Pan W. jednak, wyciągając — jako załącznik — decyzję o rozwodzie, przeciał wszelkie dyskusje. Ma prawo odwiedzać córkę kiedy chce, a fakt zameldowania w M-4 jest o wiele wymowniejszy niż donosy plotkarzy. Gdy rozmawiam z panem W. — nie ukrywa wcale, że rozwód był potrzebny dla zachowania mieszkania dla syna.

— Dostatecznie długo czekaliśmy z żoną na własne

Znikający punkt

Jadwiga Karolczak

mieszkanie, żeby teraz, do domku, zabierać dwie rodziny. Z perspektywą na trzecią, bo przecież córka też wyjdzie za mąż. Więc do pięciu pokoi z kuchnią — od razu sześć osób. Z perspektywą na zwykłe, naturalne powiększenie tej liczby. I to ma być dla mnie komfort na starość? I syn, i córka mają książeczki mieszkaniowe. Doczekają się własnego kąta być może za dziesięć lat. To nie ja wymyśliłem takie terminy. Wiem, że inni żyją znacznie gorzej, ale czy to znaczy, że mam powiększać ich grono? W imię czego? Owszem, upokarzające było dla nas to przedstawienie rozwodowe. Może i nieuczciwe. Tylko proszę w nim dostrzec raczej skutek niż przyczynę chorej sytuacji mieszkaniowej.

Sytuacja mieszkaniowa w Kielcach niewiele odbiega od powszechnej, krajowej. Czas oczekiwania na M-2, szacowany w tym roku, nie ma prawa być krótszy niż jedenaście lat, na M-3 i M-4 przekracza czternaście lat. Używając terminologii kolejowej — okres ów może się wydłużyć. Na skrócenie nie ma co liczyć.

Tak więc, pełnoletni człowiek, rejestrując wkład spółdzielczy, skrętnie uciulany przez zapobiegliwych rodziców, ma szanse na własne mieszkanie po trzydziestce. Jak dobrze pójdzie. Bo przecież zawsze przed nim zmieszczą się ludzie z wyburzeń (żeby budować — trzeba burzyć), wybitni specjaliści, bo trzeba popierać tęgie umysły, działacze, stanowiący wzór ofiarności, krewni i dobrzy znajomi dysponentów mieszkań, bo koszula zawsze będzie ciału bliższa. No i wszystko to jest bardzo ludzkie. Kontrole spod różnych wezwań mogą zmieniać zarządy spółdzielni, ale nie zmieniają porządku życia. Bo mieszkanie stało się dobrem najbardziej deficytowym. Tak zwany odzysk na rzecz spółdzielni, czy Urzędu Miasta z powodów w życiu często spotykanych, jak przeprowadzki czy śmierć lokatorów, praktycznie nie istnieje, bo co to jest — około dziesięciu mieszkań rocznie dla ćwierćmilionowego miasta? Ano nic. Znikający punkt. To też każda droga do zdobycia dachu nad głową jest dobra; cel uświęca środki.

W takiej sytuacji rację mają obrotniejsi, bardziej pomyślni i bardziej bezwzględni. Służą im znakomicie artykuł 221 prawa spółdzielczego głoszący, iż przywileje członkowskie poprzedniego lokatora można, w stosownych okolicznościach, przekazać członkowi rodziny. Najprościej i najbardziej legalnie — przez wykupienie mieszkania na własność i zapis testamentem na rzecz rodzeństwa, dzieci, wnucząt. Mówi się wtedy: niech sobie dziadkowie żyją jak najdłużej, nikt nie czeka na ich śmierć, przecież wieczni nie są. Marzenka dopiero za cztery lata kończy studia. No, ale cztery lata minęły, Marzenka już się wykształciła, wyszła za mąż i ma dziecko. Nikt nie czeka na nieczyją śmierć, dziadkowie dochodzą do osiemdziesiątki, a ona koczuje u rodziców. Życie jest nieznosne.

Bywa tak, bywa inaczej. Oto dwudziestoletni wnuczek ma po babci mieszkanie własnościowe, tyle że — według informacji WUSW — nie mieszka w nim, ale „u swoich rodziców w domku jednorodzinnym”. Wcale to nie znaczy, że spadkowe M-3 stoi puste. Za spore pieniądze wynajmuje je trunkowy kumpel wnuczka. Wizyty dzielnicowego zawdzięcza nieobyczajnemu trybowi życia i wynikającemu stąd oburzeniu sąsiadów. Fakt, że sąsiedzi traktują rzeczzone M-3 jako irytujący „pustostan” nie ma potwierdzenia w dokumentach, no a koniec końców liczą się głównie one. Resztę można złożyć na karb ludzkiej zawiści i złośliwości. I dalej zarabiać na fartownym spadku.

Spekulowanie mieszkaniem jest oczywiście, bo zawsze spekuluje się tym, co trudne do osiągnięcia drogą legalną, a pilnie potrzebne do życia. Oto pracownik naukowy został wyposażony w cztery pokoje z kuchnią. Kwaterunkowe. Rychno rozwiódł się, żona wyjechała z córką z Kielc. Został sam w dużym mieszkaniu i nie w tym dziwnego, że zapragnął je zamienić na mniejsze. Jakoż i nadarzyła się oka-

zja: został właścicielem „dolarowego” pokoju z kuchnią, uzyskując odpowiednią dopłatę za pozostawione zasobnemu następcy trzy pokoje. A że Kielce i ich wyższe uczelnie nie przywizały go na tyle, żeby w nich spędzić resztę życia, przeto prawo własności mieszkania przeniósł na córkę, a sam podążył za byłą żoną, która w tak zwanym międzyczasie też dostała mieszkanie. No i wszyscy są zadowoleni. Wszyscy poza tymi, którzy czekają w kolejce, alarmują swymi strapieniami prezesów spółdzielni i prezydenta miasta.

Rozwodów „mieszkaniowych” jest dużo. Coraz więcej. Głównie w domkach jednorodzinnych, które powinny sprzyjać rodzinnemu szczęściu, gdy tymczasem wszystko wskazuje na to, że dzieje się wprost przeciwnie. Z postanowienia, iż jednej rodzinie należy się tylko jedno mieszkanie wynikają bowiem liczne kłopoty. Oto państwo S., członkowie i mieszkańcy KSM, postanowili w 1977 roku, za pośrednictwem RSM „Armatury” zbudować własny domek. Najpierw jednak wykupili dotychczasowe M-5 na własność. W lutym 1979 roku deklarują w „Armaturach” gotowość przeniesienia się z całą rodziną na nowe śmieci, co było równoznaczne z przekazaniem starego mieszkania do dyspozycji KSM. Ale gdy w październiku domek czekał gotowy na właścicieli, poinformowali oni obydwie spółdzielnie, że właśnie wnieśli sprawę o rozwód, który istotnie dokonał się w początkach 1980 roku. Pan S. ma przyznaną władzę rodzicielską nad dwojgiem dzieci, które zabrał do domku, pani S. została w M-5, z którym robi to, co powinna zrobić każda zapobiegliwa osoba: sprzedaje za parę milionów złotych. Jako posażna dama nie musi długo czekać na kandydata na męża, tym bardziej że jest nim jej własny, były... mąż. I wszystko zgadza się z literą prawa, należy się cieszyć, że wyrodna matka wróciła do łona rodziny.

Przy pomocy rozwodu, w zakładowym mieszkaniu „Chemaru” zostaje dorosły syn, a matka z jego siostrzyczką poprawiają sobie warunki lokalowe w domku. Przy synu, jako „podkładka” zameldowany jest ojciec, który — o czym wszyscy dobrze wiedzą — i tak mieszka z żoną. Ale gdy „Chemar” zaczął ubiegać się o eksmisję wyszło na jaw, że wszystko jest zgodne z przepisami i trzeba ludzi zostawić w spokoju. Było mieszkanie zakładowe — nie ma mieszkania.

W innym mieszkaniu zakładowym, jego główna lokatorka zameldowała sublokatorkę. Ze takie przysługi kosztują drogo, to oczywiście. Następnie wybudowała domek i przeprowadziła się do niego z rodziną, zostawiając uradowanej kobiecie dotychczasowe M-3, w którym nie jest ona jakimś intruzem, ale prawnie zameldowaną osobą. Trzeba sprawy sądowej, trzeba lokalu zastępczego, żeby zakład odzyskał mieszkanie, bo jakże tak człowieka wyrzucać na bruk? Eksmisje bez sądowych wyroków odnoszą się do tych, którzy „na dziko” wchodzą sobie do mieszkania i gospodarują w nim jak w swoim. Dzieje się tak na ogół podczas remontów, które przedłużają się latami, a w tym czasie przybywa dzieci i potrzeb „powierzchniowych”. Więc tylko część lokatorów wraca do odnowionego lokum, reszta okopuje się w mieszkaniu zastępczym. Bywa, że na zawsze.

Zdarza się, że właściciel mieszkania spółdzielczego sprzedaje je z ogromnym zyskiem, bo też na mieszkaniu nikt jeszcze nie stracił. Następnie melduje się w prywatnym domku, rzecz jasna za odpowiednią opłatą. Następnie właściciel domku wyrzeka lokatora pod byle pretekstem, bo to mu wolno. Zdesperowany człowiek zajmuje upatrzone wcześniej M-ileś, na przykład takie, którego lokatorzy są za granicą. Oczywiście trzeba go stamtąd eksmitować, ale ze powrotu do prywatnego

domku nie ma, więc spryciarz dostaje mieszkanie zamienne i cieszy się, bo wystawił wszystkich do wiatru. Wniośków o wyprowadzenie „dziur” jest sporo. Na eksmisję trzeba czekać w kolejce, bo mieszkań zastępczych brakuje. Czas płynie. Jaka jest jego cena wiedzą najlepiej ci, którzy cierpliwie czekają na umieszczenie na listach. O tym, że brak mieszkania może człowiekowi po prostu zniszczyć życie — nie warto pisać. Wspominam jedynie dla potwierdzenia stanu społecznej frustracji, związanej z wydłużającymi się terminami oczekiwania, z niewiarą w każdy program rzekomo skuteczny, uzdrawiający chorą sytuację. Jeszcze żaden niczego nie uzdrowił, więc jakże zaufać kolejnemu?

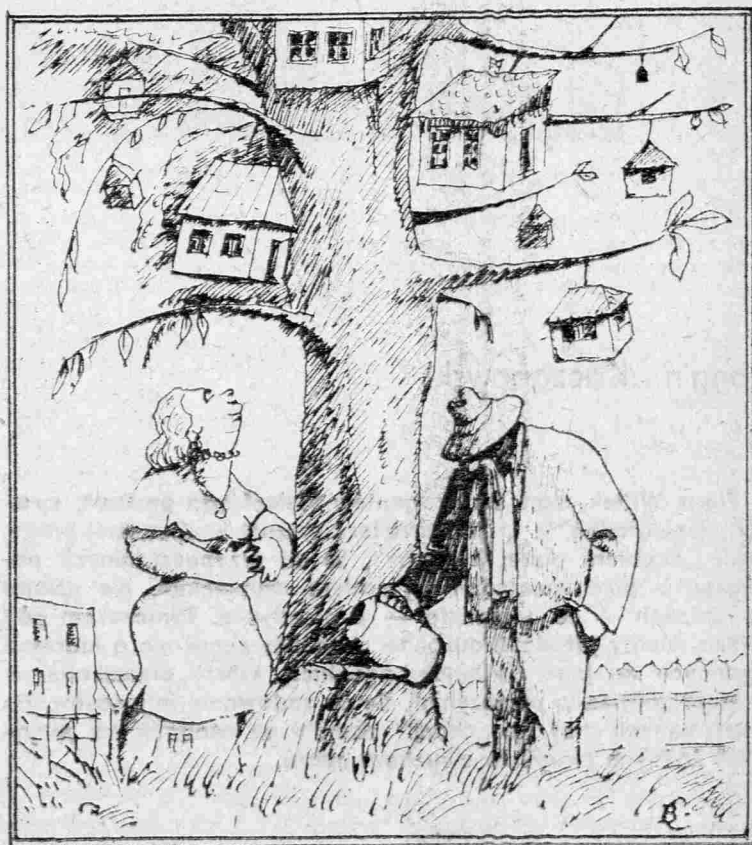
W rozmowach o mieszkaniach nie natknęłam się na optymistów. Nawet krajowy „wariant optymistyczny” nie obiecuje zbyt wiele. Zakłada się w tej pięcioletniej wybudowanie około miliona dwustu mieszkań, z czego dla spółdzielczości przypadnie (oby!) sześćset pięćdziesiąt tysięcy. A oczekuje siedemset tysięcy członków. Do tego trzeba doliczyć ludzi z wyburzeń, „rozwodników mieszkaniowych”, wszelkie zapotrzebowania na specjalistów. Dalej więc — optymistycznie licząc — nie zaspokoi się dwu trzecich potrzeb. Stąd próby szukania rozwiązań w lepszym, bardziej sprawiedliwym podziale. O tym, jaki jest trudny — świadczą wyniki kontroli spółdzielni mieszkaniowych. Nie sędzę, żeby choć jedna była wolna od zarzutu stroniczości.

W sytuacji, kiedy nadzieja jest tak wątła, mnożą się pomysły na przechytrzenie przepisów. I na ogół wszystkie są skuteczne, o czym wyżej. Z tym jednak zastrzeżeniem, że się dysponuje jakimś kapitałem obrotowym. Znamienne, że człowiek nie posiadający pieniędzy — nie działa ni-

czego. Niczego nie wykupi, bo i za co? Niczego nie sprzeda z korzyścią, bo niczego nie ma. Czeki i przeklina. Wszystko i wszystkich. W poszukiwaniu sprawiedliwych podziałów minęły te czasy, kiedy biedna wnuczka mogła się zameldować jako opieka nad niedołężnymi dziadkami. Do tego trzeba zgody spółdzielni, a ona na ogół jej nie wyraża. Bo później wnuczkę trzeba by eksmitować, dawać jej zastępcze mieszkanie, którego też nie ma. Takich wnuczek i wnuczków powołujących się na naj-

opieki społecznej”. Toteż prośba innej wnuczki, prośba być może słuszną i uczciwą, zostanie na wszelki wypadek odrzucona. Wprost trudno uwierzyć w szczerość intencji, gdy tyle przypadków potwierdziło ich brak. Mieszkanie to biznes, a w biznesie nie ma miejsca na sentymenty. Trzeba mieć pieniądze. Wykupić, sprzedać, zarobić; pieniądz robi pieniądz.

Racje społeczne, na ogół bardzo słuszne, zapisane są w programach; rzeczywistość



Rus. Bolesław Cetner

szlachetniejsze powinności wobec staruszków jest bardzo duże. Jakże im dać wiary, ulegając szlachetnemu impulsowi, gdy już po wyrażeniu zgody dziadek nadysła do spółdzielni list, w którym pisze, iż „ze względu na brak opieki ze strony rodziny zmuszony byłem skorzystać z usług domu

skrzeczy nawet w ich wersjach najbardziej optymistycznych. Terminy przyprawiają o zawrót głowy, sposoby ich przechytrzenia o niesmak, a całość sprawy o głęboką zadumę.

JADWIGA KAROLCZAK

Ludzie „Diabła”

Longin Kaczanowski

Franz Wittek, szef siatki agentów kieleckiego gestapo, zwany „Szpicbródką” z racji charakterystycznej hiszpańskiej brody, bądź „Diabłem piątej kolumny”, to od przypuszczalnych powiązań z przedwojennym wywiadem niemieckim, nie działał w Kielcach — co oczywiście — w pojedynkę. Tymczasem gdy o nim wiemy już dość dużo, to mało lub zgoła nic o ludziach będących na jego usługach, agentach, którzy przenikając w szeregi podziemia przyczyniali się do zadawania mu ciosów, do popełnianych przy tej „okazji” zbrodni na osobach nie mających żadnych związków z ruchem oporu.

JEDNYM z bardziej wymownych śladów wspólnych działań hitlerowskiej policji, Wittka i jego agentów jest okupacyjna mogiła w Raszówce, położona na 22 kilometrze od Kielc, tuż przy ruchliwej trasie w kierunku Łodzi. Mogiła ta kryje szczątki pomordowanych i spalonych żywcem — późną wiosną 1943 roku — mieszkańców gminy Mniów. Część ofiar tam właśnie została zamordowana i

pogrzebana, część zaś zginęła w Pogłódowie i dopiero przed sześcioma laty szczątki ich ekshumowano z gospodarskiego obejścia i przeniesiono do wspólnej mogiły na Raszówce.

Agenci z siatki Franza Wittka mozolnie wyłaniają się ze strzępów zachowanych dokumentów, ze wspomnień byłych żołnierzy podziemia, relacji ludzi, którzy nie chcą zbyt chętnie wracać pamięcią do tamtych dni...

Co wydarzyło się pod Mniowem?

Nocą z 13 na 14 czerwca 1943 roku, gdy miasto jeszcze spało, z Kielc wyruszył oddział hitlerowskiej policji złożony z funkcjonariuszy I zmotoryzowanego batalionu żandarmerii stacjonującego w budynku przedwojennej szkoły średniej imienia św. Stanisława Kostki, dzisiejszej siedzibie LO im. Ściegiennego. Żandarmi pod dowództwem SS-Hauptscharführera Wolfgang Rehna wyjechali z miasta drogą na Piotrków—Łódź. Było już widno, gdy samochód zatrzymał się na skraju lasu pod Mniowem. Policjanci dość śmiało (co zdarzało im się w czasie okupacji niezmiernie rzadko) zagłębili się w las. Śmiała postawa policjantów wynikała również i stąd, że prowadził ich bardzo pewnie niemiecki konfident. Patrząc na nich można było odnieść wrażenie, że oczekują pewnej zdobyczy. Istotnie, dość niepostrzeżenie zbliżyli się do leśnego bunkra, a raczej ziemniarki, w której (o czym hitlerowcy wiedzieli bardzo dobrze) przebywała grupa partyzantów. Po podstępny rozbrojeniu wartownika policjanci osaczyli bunkier. Zaczęła krótka walka. Na skutek miażdżącej przewagi żandarmów — partyzanci, broniąc się, polegli co do jednego. Zginęło ich sześciu.

W tym samym czasie, gdy jedni żandarmi otaczali partyzancką ziemiankę, inni udali się do Mniowa i Pogłódowa, gdzie aresztowali siedmiu mężczyzn, o których wiedzieli, że działają w konspiracji, o czym meldowali konfidentci. Zatrzymano Stefana Stachurę, Władysława Podwysockiego, Jana Brelskiego, Władysława Bednarczyka, Smołucha i dwóch mężczyzn o nieustalonych nazwiskach, których odwieziono do kieleckiej siedziby gestapo, a następnie zesłano do Oświęcimia.

Aresztowanie podejrzanych o konspirację nie oznaczało oczywiście końca akcji pod

Mniowem. Hitlerowcy stosując swoją „ulubioną” zasadę odpowiedzialności zbiorowej zatrzymali również wszystkich mieszkańców Pogłódowa spokrewnionych bądź spowinowacowanych z aresztowanymi mężczyznami. Razem 18 osób, w tym 6 kobiet i 10 dzieci kilku- i kilkunastoletnich, zamknięto w stodole Władysława Bednarczyka i spalono ostrzegając ich przed podpaleniem stodoły serią z pistoletu maszynowego.

Dowodzący akcją Wolfgang Rehn w styczniu 1944 roku przedstawiony został do odznaczenia krzyżem żelaznym II klasy z mieczami. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie treść wniosku odznaczeniowego wystawionego na tę okoliczność. Otóż dowiadujemy się z niego, że Rehn osobiście, 14 czerwca 1943 roku wziął udział w schwytaniu jednego i zlikwidowaniu 24 „bandytów” pod Mniowem! Tak więc, by powiększyć „chwałę” Rehna, do 6 poległych partyzantów doliczono mu we wniosku 18 kobiet i dzieci z Pogłódowa spalonych prawdopodobnie żywcem.

Za ten sam czyn do odznaczenia krzyżami żelaznymi II klasy z mieczami przedstawieni zostali obok Rehna funkcjonariusze i zmotoryzowanego batalionu żandarmerii — Gottlieb Boockle, Justin Graf i August Rinne. Według świadków, 14 czerwca w Pogłódowie był też i sam Karl Essig, szef kieleckiego gestapo. Nie jest to wykluczone, bowiem w Pogłódowie tego dnia był również Franz Wittek. Mogli sobie nawzajem pogratulować udanej roboty agentów, z których zapewne obaj byli bardzo dumni...

Wyznania niedoszłego agenta

W pobliżu leśnego bunkra, jak pamiętamy, hitlerowscy policjanci zaskoczyli i zatrzymali jednego z partyzantów. Dostał się on w ręce niemieckie, pomimo to, przechodząc



Od lewej: sędzia Leon Reklewski „Tarnawa”, przewodniczący Sądu Specjalnego w 1943 r. w Okręgu Kielecko-Radomskim. Pod koniec tego roku zagrożony aresztowaniem przeniósł się do Warszawy, gdzie zginął w czasie powstania. Obok jego żona Maria oraz córki Anna i Ewa — wszystkie trzy aresztowane w odwecie 13 X 1943 r., deportowane do Oświęcimia i stracone w dwutygodniowych odstępach czasu.

zmienne koleje losu, wojnę przeżył. Jest jedynym żyjącym świadkiem tego, co się działo w okolicy bunkra. Jego wyznania są też bardzo pomocne w rozwikłaniu tajemnicy agentów Wittka, przetożmy je więc w obszerniejszym fragmencie. M.S. (pozostaliśmy przy pierwszych literach jego imienia i nazwiska) relacjonował w 30 lat po wydarzeniach pod Mniowem:

„O brzasku drugiego dnia Zielonych Świątek 1943 roku D.N. wywabił mnie z leśnego bunkra pod Mniowem pod pretekstem udzielenia mi pomocy w przeniesieniu ciężkiego odbiornika pozostawionego przezeń na skraju lasu. N. wziął ode mnie karabin chcąc go obejrzeć. Powiedział mi „Pokaż karabin” takim tonem jakby zauważył w nim jakiś defekt. Zaskoczył mnie tym. Nie zastanawiając się podałem mu broń. N. wyjął wówczas zamek z karabinu i zaczął go oglądać. Wówczas z krzaków wyskoczyli niemieccy żandarmi, obezwładnili mnie i powalili na ziemię.

N. spoglądał na to spokojnie. Następnie poszedł z żandarmami w kierunku bunkra. Żandarmi otworzyli ogień, ale po chwili N., który nosił pseudonim „Mecenas” krzyknął w stronę bunkra, by wszyscy poddali się. W odpowiedzi od bunkra posypały się strzały. Zaczęła się ostra walka, ale dość szybko ucichła.

Po zlikwidowaniu załogi bunkra żandarmi kazali mi iść przed sobą z podniesionymi rękami. Doprowadzili mnie do skraju szosy Kielce — Końskie. Na szosie zobaczyłem niemieckie samochody tzw. budy. Niektóre z nich stały w krzakach na skraju lasu. Wśród żandarmów zauważyłem kilku mężczyzn w mundurach SS, a między nimi cywila, znanego w Kielcach agenta gestapo Wittka, zwanego „Szpicbródką”. Po pewnym czasie kazano mi wskazać do jednej z „bud”. Zauważyłem, że samochód jedzie w kierunku Kielc. Po przyjeździe do miasta samochód zatrzymał się na podwórzu szkoły im. Stanisława Kostki.

Wtedy podszedł do mnie „Szpicbródka”, kazał mi wsiadać do samochodu osobowego, którym przyjechał spod Mniowa. Obok mnie usiadł także jeden z żandarmów. Samochód zawiózł nas do gestapo mieszczonego się w budynku przedwojennej Izby Skarbowej. Tam Wittek zaprowadził mnie do pokoju, w którym znajdował się już wspomniany przez mnie D.N. i znany mi osobiście K. Z rozmowy wywnioskowałem, że D. N. i K. są konfidentami gestapo. Powiedzieli mi oni, że albo podpiszę deklarację konfidencką, albo zostanę rozstrzelany jako partyzant. Ratując życie podpisałem deklarację.

Następnie, w tym samym budynku, skierowany zostałem do pokoju, w którym jak się okazało przebywali już trzej inni konfidenti, w tym D.N. Na kwaterze tej przebywałem około 10 dni. Po upływie tego czasu zostałem wypuszczony na miasto. Przed wyjściem przekazano mi konfidenckie obowiązki i rozkaz meldowania się co drugi dzień na wartowni w budynku gestapo. Pamiętam, że meldowałem się tam trzykrotnie. Przez cały czas od wyjścia z gestapo gorączkowo szukałem kontaktów z ruchem oporu chcąc uciec do lasu, do partyzantki. Pragnąłem przekazać wszystkie informacje jakie uzyskałem o konfidentach i ich działalności. Wkrótce udało mi się nawiązać łączność z jednym z oddziałów leśnych, w którym walczyłem do końca okupacji. Dowództwu oddziału przekazałem wszystko to, czego dowiedziałem się o agentach”.

Wiadomości przekazane przez M.S., którego osobę drobiazgowo sprawdzono w obawie przed ewentualną prowokacją, okazały się bardzo przydatne przy rozszyfrowywaniu Wittka i jego ludzi.

Z ustaleń kontrwywiadu AK

Zapewne nigdy nie zostanie ustalona dokładna liczba a-

gentów kieleckiego gestapo. Nie będziemy też wiedzieć, ile z nich było agentami okazjonalnymi, a ilu na stałe, przez całą okupację, trudniło się płatnym donosicielstwem i szpiegowaniem. Nie mamy również danych dotyczących wyroków sądów podziemnych. Nie wiemy, ile ich zapadło i które zostały wykonane. W każdym razie kontrwywiad AK ostro reagując na wszelkie przejawy współpracy z okupantem dostarczał sądom sporo dowodów, na których podstawie zapadały wyroki skazujące. Część agentów, którzy uniknęli odpowiedzialności w latach okupacji, stanęła przed powojennymi sądami.

Tropiąc konfidencką działalność niektórych Polaków, akowski kontrwywiad ustalił sprawców wydania w niemieckie ręce partyzantów przebywających w bunkrze pod Mniowem, a pośrednio spalenia żywcem grupy mieszkańców Pogłódowa.

Jednym z ludzi Wittka okazał się niejaki Dionizy Józef Nowak, którego ujęto na początku 1944 roku i dość drobiazgowo przesłuchano przed wydaniem na niego wyroku skazującego. Nowak przyznał się do współpracy z gestapo. Określając początek tej współpracy na czerwiec 1943 roku podał, że wcześniej pracował w policji kryminalnej. Nie zaprzeczył swojego udziału w wydarzeniach koło Mniowa. Występował tam jako partyzant o pseudonimie „Mecenas”. Znał doskonale wszystkich partyzantów z imienia i z nazwiska oraz ich powiązania rodzinne z Pogłódowem. To wystarczyło do dekonspiracji bunkra. Jak przyznał Nowak, wszystkie szczegóły dotyczące bunkra i przebywających w nim partyzantów przekazywał on Wittkowi. Ta „robotą” Nowaka została wysoko oceniona przez jego przełożonych, skoro otrzymał za nią, jak powiedział, 550 zł.

W pewnym momencie swoich wyjaśnień Nowak powiedział, że jego szefem jest Essig.

Nie odpowiadało to oczywiście prawdzie, gdyż faktycznie był nim Wittek. Być może przywołując Essiga, Nowak chciał podkreślić swoją ważność. Składając dalej wyjaśnienia powiedział, że konfidentenci kontaktują się głównie z Wittkiem i gestapowcem Rehmem. Przy okazji podał także adresy znanych mu gestapowców. Rehn mieszkał przy ul. Żytnej róg Focha, Franz Czok w koszarach gestapo, Stroem przy ul. Wschodniej, Sibiller także w koszarach, a Wittek przy Szerokiej 17 na drugim piętrze.

Nowak mówił również o ostrym pogotowiu niemieckich sił policyjnych w dystrykcie radomskim. Według jego rozeznania miało nastąpić jakieś duże przeciwpartyzanckie uderzenie, gdyż Niemcy spodziewali się ogólnonarodowego powstania. Do Kielc miał podobno przybyć przyjaciel Hitlera, który zamieszkał przy ul. Kolejowej. Miał on opracować plan likwidacji polskiej partyzantki. Trudno powiedzieć na ile ta informacja Nowaka jest prawdziwa. Być może faktycznie przysłano kogoś z Berlina do Kielc, by na miejscu mógł rozeznaczyć możliwości walki z partyzantką, a w jakiejś plotce zrobiono z tej osoby przyjaciela Hitlera. W końcu Kieleccyzna należała do najbardziej „trudnych” obszarów w Generalnym Gubernatorstwie.

Absolwenci „szkoły szpiegów”

W tym samym czasie co Nowak, ujęty został inny konfident kieleckiego gestapo pracujący w siatce Wittka, niejaki B.J. Składając wyjaśnienia początkowo opowiadał on więcej o Nowaku niż o sobie. Przygotowując grunt pod likwidację bunkra w Mniowie, Nowak zastrzelił jakiegoś starszego mężczyznę, u którego przechowywano radio. Być może domyślał się on podwójnej roli Nowaka. B.J. dorzucił jeszcze jeden istotny szczegół. Mówił o posiadaniu przez Nowaka aparatu fotograficz-

nego. Aparatem tym Nowak fotografował mieszkańców Mniowa i okolic. Zapewne zdjęcia te służyły później do konfrontacji dokonywanych przez funkcjonariuszy gestapo. Według wyjaśnień B.J., gdy wspomniany przez nas niedoszły agent M.S. wyszedł z gestapo, poprzysiągł, że w pierwszej kolejności zabije Nowaka. Wiadomość ta dotarła jakimś sposobem do gestapowców, którzy „aresztowali” Nowaka i zakazali mu przez pewien czas opuszczać policyjną siedzibę.

Pytany, dlaczego poszedł na współpracę z gestapo, B.J. oświadczył, że zmusił go do tego Nowak. Miał podobno straszyc go zlikwidowaniem całej rodziny w przypadku odmowy podpisania konfidenckiej listy. B.J. zgodził się, choć wiedział, jakie takiej współpracy są następstwa. Prawie na jego oczach w kieleckim parku zastrzelony został inny konfident gestapo, człowiek Wittka, Ludwik Kwieciński.

Uzbrojeni konfidenti byli niejednokrotnie bardziej niebezpieczni od umundurowanych hitlerowskich policjantów. Działali przez zaskoczenie atakując swoje ofiary w najmniej spodziewanym momencie. B.J. zeznał o swoim udziale w aresztowaniach w Niewachlowie oraz zastrzeleniu dwóch ludzi. Został zatrzymany przez podziemny wymiar sprawiedliwości w momencie gdy wybierał się na kolejną szpiegowską trasę, do Włoszczowy, Rząbca i Nieznanowie. Penetrując teren B.J. i inni konfidenti podawali się za „chłopców z lasu”. To miało wzbudzać zaufanie potencjalnych rozmówców.

Kończąc swoje wyjaśnienia B.J., jakby nie zdając sobie sprawy ze swojego położenia, zaproponował rozmówcom swoistą transakcję. Za przekazanie rzekomych notatek o działaniach konfidenckich, które miał mieć w swoim domu, oczekiwał... wolności. Z propozycji tej badający B.J. nie skorzystali.

W okolicy Włoszczowy B.J. miał wyruszyć z radzieckim renegatem Sergiejem Awramienką, byłym oficerem Armii Czerwonej, który dostał się do niewoli niemieckiej w październiku 1941 roku i poszedł na współpracę z hitlerowską policją. Trudno dociec, dlaczego akurat skierowano go do Kielc, skoro wcześniej był we Włodzimierzu Wołyńskim, a następnie w Hamburgu. W Kielcach Awramienko przechodził szkolenie w „szkole szpiegów” w której zajęcia z konfidentami prowadził m.in. Wittek. Jak zapamiętał, Wittek zalecał w czasie tych „zajęć” dużą ostrożność w terenie, gdyż ludzie nie są zbyt ufni wobec nieznajomych. Awramienkę wypytywano także o sprawę bunkra pod Mniowem. Dał on „słowo honoru”, że nie na ten temat nie wie. Podał natomiast interesujące szczegóły o niemieckich poczynaniach wobec ukraińskich nacjonalistów osadzonych w obozach jenieckich. Otóż formowano z nich specjalne oddziały, które były kierowane na teren Generalnego Gubernatorstwa do walki z partyzantami. Jeden z takich oddziałów przez jakiś czas operował w okolicach Włoszczowy. Jak wyjaśnił Awramienko funkcjonariuszom akowskiego kontrwywiadu, ludzie z tego oddziału poruszają się tylko po drogach, do lasu nie wchodzi, poszukiwanej grupy nie znajdują.

Wyjaśnienia Awramienki dotyczące jego konfidenckiej działalności, a nawet przewożenia grupie konfidentów, były natychmiast konfrontowane z zeznaniami jeszcze jednego konfidenta ujętego przez podziemie na przełomie 1943 i 1944 roku. Z całej czwórki (Nowak, B.J., Awramienko) D. S. wydawał się najbardziej inteligentny, a zarazem przebiegły. Mówiono nie bez przyczyny, że może nawet zagrażał D. S. Wittkowi. Początkowo był jego uczniem. Gestapowcy dość szybko jednak poznali się na zdolnościach D. S. Zapewne on, a nie Awramienko, kierował grupą konfidentów skierowaną we Włoszczowskie.

Głównym atutem D.S. była znajomość terenu, a w kontaktach z Niemcami umiejętność opanowania ich językiem. D.S. miał jednak i słabe strony: lubił się zabawić, wypić, mieć przy sobie grubszą gotówkę. Kto wie czy to nie te właśnie słabości miały wpływ na podjęcie przez niego współpracy z gestapo. D.S. składając wyjaśnienia powiedział nawet, że największą zgubą w pracy organizacyjnej są gadulstwo i pijaństwo.

Ilu ludzi zostało aresztowanych bądź straconych na skutek konfidenckich donosów D.S., nie da się ustalić. Kiedyś miał obiecywać, chyba gestapowcom, że rozłoży cały kielecki ZWZ. Podobno — co mało prawdopodobne, choć sam o tym miał mówić — w wyniku jego roboty aresztowano i rozstrzelano około 500 osób.



Ujęcie Nowaka, B.J., Awramienki i D.S. pokrzyżowało plany kieleckiego gestapo rozpracowania ruchu oporu we Włoszczowskim. Zagrożeni poczuli się także inni konfidenti, których nazwiska bądź pseudonimy zostały ujawnione przez zatrzymanych. Ich wroga działalność dobiegła wówczas końca. Wyrokami sądu specjalnego cała czwórka skazana została na karę śmierci. Wyroki te wykonano.

Podziemne ramie sprawiedliwości dosięgło czterech ludzi „Diabła piątej kolumny” — Franza Wittka, wokół którego nagromadziło się sporo mitów i legend wręcz demonizujących tę postać. W świetle faktów okazują się one całkowicie zbędne. Również bez fałszywych mitów i preparowanej legendy Wittek pozostaje w gronie najbardziej niebezpiecznych i zjadliwych hitlerowców, jacy w latach okupacji pojawili się na ziemi kieleckiej. Konfidenti byli niebezpiecznym; ale tylko tłem jego działalności.



REFLEKSJE MELOMANA

Trzecie oko

Włodzimierz Laten-Janusiewicz

KAŻDY muzyk musi mieć tak zwane trzecie oko, którego jeśli nie ma, nie może grać w orkiestrze ani śpiewać w chórze. Parą przyrodzonych oczu wczytuje się w nuty, a trzecim okiem patrzy na dyrygenta. Niezwykle jest to i niewiarygodne, ale prawdziwe. Co więcej, można jeszcze nadmienić, iż nie tylko pod tym względem muzycy to ludzie niezwykli. O nich to właśnie — inspirowany wyłącznie dobrymi intencjami — piszę niniejszy felieton obiektywno-subiektywny. Obiektywny, ponieważ nie jestem muzykiem, więc łatwiej mi będzie o bezstronność, a subiektywny dlatego, że żaden człowiek, niestety, nie jest wolny od subiektywizmu.

Istnieje potrzeba przedstawienia niektórych spraw kieleckiego środowiska muzycznego z punktu widzenia melomana, czyli odbiorcy muzyki. O muzyce, muzykach i ich środowisku pisują najczęściej muzycy, lecz nietrudno zauważyć, jak bardzo nieraz tendencyjnie, zawistnie, dokuczliwie, z mnóstwem wycieczek osobistych, bez życzliwości, ale za to egoistycznie i poza-

muzycznie — na kanwie i pod pretekstem muzyki. „Nikt nie jest tak biegły w muzyce jak ja” — myśli niejeden piszący muzyk i właśnie to jego skrzywienie i megalomańskie samomniemanie jest często początkiem agresji, która rodzi agresję i jest wielkim złem. W ten sposób wytwarza się niedobra sytuacja i zły klimat szkodliwy dla muzyki, muzyków i melomanów, siłą rzeczy zniechęcając tych ostatnich do tej najpiękniejszej z muz. Przeciwnie meloman — lubi nie tylko muzykę, lecz i życzliwość dla muzyków ma. Powiem więcej, jest im wdzięczny, gdyż świadomy jest, że dzięki nim ma muzykę żywą, której nie zastąpi żadna inna, ani z płyt i taśm, ani z telewizji, czy nawet radia. Polskie Radio słynęło zawsze z dobrej muzyki, ale ostatnio wydatnie się pod tym względem popsuło. Prym w emitowaniu tej muzyki wieździe Rozgłośnia Kielecka, co jest zaskakujące, ponieważ kierownikiem działu muzycznego jest tam renomowany muzyk i kompozytor oraz bardzo kulturalny człowiek, lecz widocznie wpływ jego na poziom nadawanej

muzyki jest ograniczony. I tak na przykład „Aktualności dnia” chętnie by się słuchało podczas golenia i spiesząc się do pracy człowiek wiedziałby przynajmniej, która jest godzina, ale z powodu muzyki słuchać się ich nie da.

Faktem przyjemnym i społecznie bardzo ważnym jest, iż środowisko muzyczne Kielc stale się rozwija. Orkiestra Filharmonii przed czterdziestu laty złożona z kilkunastu zaledwie muzyków, przeważnie samouków, dziś jest zespołem par excellence profesjonalnym o siedemdziesięciu instrumentalistach. Jest wśród nich coraz więcej muzyków z dyplomami akademickimi. Są oni coraz bieglejsi w wykonywaniu swego artystycznego rzemiosła, a ich instrumentarium, mimo licznych jeszcze w tym względzie mankamentów, też jest coraz bogatsze. Ma Filharmonia pełnowartościowy fortepian koncertowy najlepszej na świecie firmy Steinwaya. Jest on bajecznie drogi, kupiony za dewizy. Ma też Filharmonia klawesyn, a jest to jak wiadomo instrument uroczy. W projekcie są ponadto organy zamówione u jednej z firm niemieckich. Można więc mieć pewność, że będzie to instrument wartościowy, bo Niemcy od paruset lat są najlepszymi budowniczymi organów.

W ubiegłym roku w środowisku naszych filharmoników nastąpiło miłe ożywienie na wieść o przyznaniu finansów na reaktywowanie chóru, który ongiś przy Filharmonii był, ale z powodu różnych perypetii i małości pewnej osoby został rozwiązany. Istnienie chóru przy Filharmonii ma wielkie znaczenie, ponieważ umożliwia powiększenie repertuaru koncertowego o formy instrumentalno-wokalne, a więc oratoria, kantaty, monote operowe i tym podobne utwory. Ogłoszono werbunek chórzystów, których zgłosiło się ponad stu. Kandydatów egzaminował sam dyrektor Filharmonii. Egzamin był podobno trudny, ale na szczęście o przyjęciu do chóru nie

decydowała umiejętność czytania nut, skądinąd bardzo przydatna każdemu chórzyscie, lecz dobry słuch muzyczny, odpowiedni głos, poczucie rytmu i pamięć muzyczna.

Przez egzaminacyjne sito szczęśliwie przeszło osiemnastu entuzjastów śpiewu chóralnego i tak oto słowo stało się ciałem. Czterogłosowy chór Państwowej Filharmonii im. Oskara Kolberga w Kielcach stał się rzeczywistością. Komu za ten szczęśliwy fakt muzycy i melomani mają być wdzięczni: władzom, dyrektorowi Filharmonii, czy chórzystom? Myślę, że wszystkim, którzy się do jego powstania przyczynili. Status chóru jest symbolicznie zawodowy w tym sensie, że chórzysci otrzymują za próby i koncerty symboliczne honoraria, lecz bynajmniej nie dlatego, że bezinteresownie śpiewać by nie chcieli, ale żeby na czas próby i występów mieli od swych mężów i żon „finansowe” usprawiedliwienie za nieobecność w domu. Ha! Takie jest życie. W innych aspektach, z wyjątkiem zapewne aspiracji artystycznych, chór ma charakter amatorski, ponieważ większość śpiewaków to nie muzycy, lecz właśnie amatorzy artystycznego śpiewu. Rekrutują się oni z różnych środowisk zawodowych. Są wśród nich urzędnicy, handlowcy, pocztowcy, prawnicy, inżynierowie, nauczyciele, naukowcy, a nawet magistrzy muzyki. Ci ostatni stanowią moim zdaniem najcenniejszą substancję chórotwórczą, gdyż głosy mają wykształcone, a nuty czytają z łatwością, z jaką zwykły człowiek czyta gazetę. Rozmaity jest też wiek chórzystów, ale na szczęście dla kieleckiego zespołu są to przeważnie ludzie młodzi, a co mnie szczególnie miło zaskoczyło, gdy mój chór ujrzał po raz pierwszy, to mianowicie to, iż żeńska jego część składa się wyłącznie z osób młodych. Tu wyjawię jeden z sekretów muzyki — śpiewające kobiety nie starzeją się! Jeśli jest tak naprawdę, a chyba jest, to na-

leży oczekiwać, że wkrótce zespół powiększy się o dalsze amatorki chóralnego śpiewu.

Połączone zespoły orkiestry i chóru odbyły wiele prób i dały już kilka koncertów w Kielcach, Starachowicach, Opatowie, Busku-Zdroju i Tarnobrzegu. Radość z tego wszystkiego jest wielka, a będzie jeszcze większa, jeśli za ileś tam lat okaże się, że nie wszystkie inicjatywy kulturalne w Kielcach skazane są na słomiany ogień. Odpukać!

Warunki lokalowe Filharmonii są niedostateczne, ale rozpoczął się ostatnio remont gmachu, w którym ma ona siedzibę, po którym przybędzie jej nieco przestrzeni. Oby był to remont solidny a krótkotrwały, bo kieleccy filharmonicy godni są, żeby i do nich uśmiechnął się los.

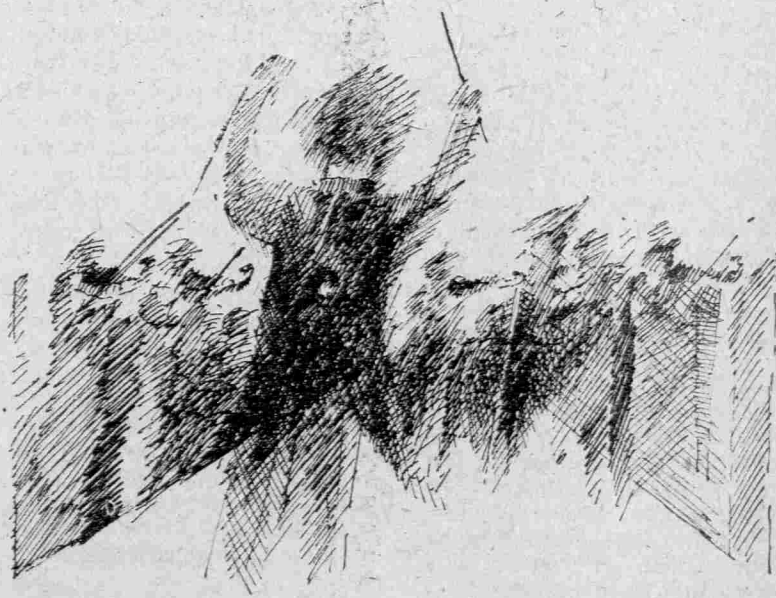
Słyszysz się, iż z kieleckich instytucji kulturalnych Filharmonia jest placówką najlepszą. I ja tak myślę i jeśli tak jest, to pragnąłbym, żeby zawsze tak było, ponieważ każda filharmonia jest w pewnym sensie instytucją kluczową ze względu na wyjątkową

wartość społeczną i kulturotwórczą muzyki jako takiej.

Serdecznie i coraz bardziej podziwiam dyrektora Anbilę, który jest wybitnym artystą muzykiem i utalentowanym dyrygentem, znanym kompozytorem i zapalonym chórmistrzem, nie tylko za jego pracę twórczą i organizatorską, ale i za to, że nawet remontu się nie boi. Wyjątkowa jest też wierność Karola Anbila naszemu miastu — już trzydziestoletnia, że aż chciałoby się powiedzieć: Anbild semper fidelis!

Nieco dłużej zadumałem się nad Filharmonią, lecz nie znaczy to, że innych muzycznych instytucji kieleckich nie lubię. Wręcz przeciwnie, szanuję je i cenię.

Rozmawiałem z Włodzimierzem Kutrzebą, dyrektorem obu kieleckich szkół muzycznych. Świetny to pianista i pedagog, szczęśliwy przy tym człowiek, bo optymistą. Nic go nie boli, tylko brak czasu, a dyrektorowanie jak dotąd nie zabija go. W obu jego szkołach, niższej i średniej, w których jest czterystu ucz-



Rys. Tadeusz Maj

niów, nauka trwa po sześć lat. Młodzi adepci sztuki muzycznej kształcą się na instrumentalistów lub wokalistów. Uczniów obowiązuje gra na instrumentach i nauka teorii. Ponadto uczestniczą oni w dwóch szkolnych chórach, orkiestrze dętej i w zespołach kameralnych. Pochodzą z różnych stron kraju, najwięcej ich jednak jest z Kielcczyzny. Szkoła ma dobrą opinię i szczyści się licznymi sukcesami artystycznymi swych uczniów i wychowanków. Dyrektor Kutrzeba, który też jest jej absolwentem, mówi: niezbędny jest remont budynku przy ul. Gwardii, ponieważ grozi mu zagrzybienie, ma lichą stolarkę i jeszcze gorsze węzły sanitarne. Ciasnota w szkole okrutna, mimo że jest jeszcze drugi budynek przy ul. Głowackiego, w którym udało się wygospodarować miejsce nawet na salkę koncertową. Dyrektor wraz z siedemdziesięcioma pedagogami zabiega o dalszy rozwój dydaktyczno-artystyczny szkoły. Bez podwyższania poziomu nie ma rozwoju. Zdaniem mego rozmówcy przez ulepszenie technologii pracy wiele można by jeszcze zmienić. Jasne, myślę sobie, zmiany na lepsze, wyłącznie na lepsze zawsze są pożądane.

Żałuję, że nie znam z bliska Instytutu Wychowania Muzycznego w kieleckiej WSP. Tymczasem z daleka cieszę się, że jest i kształci młodzież na nauczycieli muzyki (śpiewu) w szkołach podstawowych i nie tylko. Pomysł otwarcia w Kielcach tego kierunku studiów był pierwszorzędny. Może to mieć duże znaczenie dla podniesienia poziomu oświaty w ogóle, a wiedzy i kultury muzycznej w szczególności. Wiadomo bowiem powszechnie, jak bardzo źle, wręcz po macoszemu, traktowana jest nauka śpiewu w szkołach podstawowych, gdzie przecież przedmiot ten jest tak samo obowiązkowy jak inne, lecz niestety tylko z pozoru. Przede wszystkim nadal brakuje fachowej w tym względzie

kadry nauczycielskiej. Języka polskiego uczą poloniści, matematyki matematycy, bo jakże mogłoby być inaczej, ale wychowania muzycznego uczy kto chce, komu brakuje godzin do pensum lub kto potrzebuje nadliczbowek, albo komu dyrektor szkoły łechci. Skąd wziąć nauczycieli wychowania muzycznego? — pytają zatroskani dyrektorzy szkół zwłaszcza na wsi. Jak to skąd? Właśnie z Instytutu Wychowania Muzycznego, który niech żyje i rozkwita!

Rozmawiałem z kilkoma magistrami wychowania muzycznego pracującymi w szkołach. Nie mają łatwego życia. Nauczyciele innych przedmiotów patrzą na nich z góry, a dyrektorzy na ogół nie zauważają ich. Z tego powodu popadają w kompleks niższości i zniechęcają się, a niektórzy nawet żalują, że ten kierunek studiów obrali. Czy nie są to fakty smutne i pożałowania godne? Skutki zaś niedoceniań przedmiotu wychowania muzycznego są fatalne. Dzieci też lekceważą ten przedmiot, bo przykład idzie z góry. Kończą szkołę nie umiejąc śpiewać nawet hymnu narodowego, a o „Rocie” nawet nie słyszały! Takie głuche będziemy mieli młode pokolenie Polaków, albo raczej już mamy (sic!). Owszem zna ono „Góralu czy ci nie żal” i inny repertuar z libacji domowych urządzanych z takiej i owakiej okazji, podczas których odchodzą śpiewy, że aż uszy puchną.

Wracając jeszcze do Instytutu Wychowania Muzycznego pozwolę sobie zauważyć, że dobrze by było, gdyby na te piękne studia przyjmowani byli w zasadzie wyłącznie absolwenci średnich szkół muzycznych, którzy umiejąc dobrze grać przynajmniej na jednym instrumencie byłiby lepszymi nauczycielami muzyki.

Interesuje mnie wiele kwestii dotyczących kieleckiego śro-

dowiska muzycznego, lecz nie sposób poruszyć wszystkie. Oto niektóre jeszcze w telegraficznym skrócie. Kwestia recenzji z koncertów przedstawia się, moim zdaniem, następująco. Od recenzentów muzycznych na całym świecie wymaga się analizy i weryfikacji dzieła muzycznego pod kątem jego walorów artystycznych i poziomu wykonania. Tak też powinno być i w Kielcach. Każda recenzja oczekiwana jest zarówno przez wykonawców, jak i słuchaczy koncertu, który konfrontują własne odczucia z opinią jej autora. Chcąc sprostować takiemu zadaniu recenzent musi mieć dużą wiedzę, mądrość i wysokie poczucie odpowiedzialności. Jest to więc sprawa fachowości i moralności, lecz to drugie zwłaszcza jest dziś często w niełasce, nie tylko w publicystyce muzycznej. Informowanie w recenzji, że dyrygent podczas pracy nad partyturą przygotowywanego dzieła siedzi i pije kawę, nie należy do tematu i nie ma sensu, bo przecież bez erudycji recenzenta każdy śmiertelnik wie, że człowiek, aby żyć, musi jeść i pić. Nie wolno ponadto wykorzystywać recenzji dla załatwiania porachunków osobistych, czy pozbywania się własnych kompleksów. W każdym razie złudą jest, że przez poniżanie innych możliwe jest wywyższenie samego siebie i ukrycie własnej małości.

Bywają różne recenzje. Najwartościowsze są takie, które tak wiele zawierają cennego materiału i trafnych uwag, że aż wzbudzają w czytelniku zaskakującą zgola refleksję: jak to dobrze, że ktoś napisał tę książkę, bo dzięki temu czytelnik miał okazję przeczytać mądrą recenzję. Właśnie takiego uczucia doznałem podczas lektury recenzji pióra łódzkiego muzykologa pomieszczonej w „Ruchu Muzycznym” nr 22 z 27 X 85, a dotyczącej wydanego podręcznika „Harmonii”. Ta świetna recenzja była bardzo wnikliwa i krytyczna, lecz recenzent

ani raz nie skorzystał z możliwości ośmieszenia autora, bo krytykując zawartość książki miał na względzie wyłącznie cel merytoryczny. Warto takiego recenzenta naśladować zawsze i wszędzie.

Bardzo cenię formułę Tadeusza Kotarbińskiego, prawdziwego profesora i wybitnego myśliciela który twierdził, że krytyka obowiązuje życzliwa interpretacja czynów i słów krytykowanego. W żadnej dziedzinie życia nie powinno się tolerować autokracji. W odniesieniu do muzycznych Kielc nasuwa się taka myśl, że pożądanym byłoby, żeby poszczególne koncerty recenzowane były przez kilku krytyków, a recenzje mogły się ukazywać nie tylko w „Słowie”, lecz równocześnie i w „Echu”, „Przemianach” i w lokalnej rozgłośni radiowej. Wpłynęłoby to na ożywienie myśli muzycznej i obiektywizację opinii na temat poziomu artystycznego koncertów.

Niektóre koncerty kieleckie są poprzedzane prelekcjami. Osobiście nie przepadam za słuchaniem o muzyce. Wolę już coś przeczytać o niej, ale najbardziej lubię, gdy mówi do mnie sama muzyka. Czuję się wtedy jak w niebie (siódmym niebie oczywiście). Jest to jednak takie moje widzimisię, bo skądinąd rozumiem, że i o muzyce trzeba mówić. W naszym mieście czynią to najczęściej Zofia Zamojska i Andrzej Żukowski. Pani jest muzykiem, pan polonistą. Obydwoje robią to moim zdaniem dobrze i pięknie, choć każde inaczej, co też jest korzystne, bo różnaitość cieszy, ale — magistrowi Żukowskiemu recenzent spod lady ustawicznie zarzuca, że mówi o muzyce nie będąc muzykiem i tępi go na różne sposoby od lat. Zapytuję zatem, gdzie jest napisane, że nie-muzykowi nie wolno dobrze mówić o muzyce? Otóż nigdzie nie jest! Przewertowałem w związku z tym wszelkie ustawy i w żadnej nie znalazłem odpowied-

niego zakazu. Znam utalentowanego muzyka, którego chętnie zatrudniłaby każda orkiestra krajowa czy zagraniczna, co godzinami cudownie opowiada o pszczołach, a o muzyce ani me ani be. Nie umie i nie lubi. Twierdzi, że on jest od grania. Andrzej Żukowski zaś lubi i umie mówić o muzyce, co jest tym bardziej podziwu godne, bo nie jest muzykiem. Po prostu pracowity jest i umie się nauczyć. A' propos, może jest to dziwne, ale większe zaufanie mam do tych muzyków, którzy o muzyce nie piszą i nie mówią, lecz grają, bo nie ma to jak dobra gra. Kto umie, niech gra. Inni niech piszą o muzyce, ale niech nie szkodzą ludziom i sztuce. Muzyka zachęca do harmonijnego współżycia ludzi. Słuchajmy jej głosu w skupieniu.

Chcę wypowiedzieć się jeszcze na temat frekwencji na koncertach w kieleckiej Filharmonii. Wszyscy zabiegają o słuchacza muzyki, lecz jak dotąd z miernym rezultatem, dzięki czemu bywalcy koncertów mogą siadać, gdzie chcą, z czego osobiście zawsze się cieszę, ponieważ nie lubię ścisku. Miejsce siedzących w Filharmonii jest trzysta osiemdziesiąt, mieszkańców Kielc dwieście tysięcy, a mimo to sala Filharmonii nie na każdym koncercie jest pełna. Dziwne to, ale prawdziwe. Skąd taka sytuacja?

Sprawa jest nader złożona. Czy kielczanie nie lubią dobrej muzyki? Skądże, tak źle nie jest. Ale na koncerty uczęszczają w kratkę, bo nawyku chodzenia do filharmonii nie wyrabia się od zaraz. Na to trzeba kilku pokoleń. Nie ma też potrzeby ukrywać, że tak zwaną muzykę poważną kulturowie przeważnie wyższa inteligencja, a tej jest mało i na dobytek coraz bardziej się ona pauperyzuje. Człowiek dziś jest zagoniony. Wiele by chciał, ale czasu ma mało. Łatwiej mu w domu uruchomić taśmę magnetofo-

nową lub puścić płytę z „Fantastyczną” Berlioza, niż wybrać się na koncert do filharmonii. Tak jest na ogół, lecz bywają wyjątki. W Katowicach sala koncertowa WOSPR i TV mająca dla słuchaczy tysiąc i osiem miejsc zawsze jest pełna. Podobnie też jest w katowickiej i krakowskiej Filharmonii. Bądźmy jednak optymistami, może i u nas z czasem tak będzie. Wiadomo, że nie od razu Kraków zbudowano.

I w Kielcach sytuacja w tym względzie ma szansę na poprawę, zwłaszcza że istnieje już chór. Ludzie stęsknieni są do form oratoryjnych i to ich przyciągnie do Filharmonii i wyrobi z czasem nawyk bywania na koncertach. Na Kielcecznie Filharmonia jest jedna, ale przecież melomani są wszędzie. Ilu z nich przyjeżdża na koncerty symfoniczne do Kielc na przykład ze Skarżyska, Starachowic i Jędrzejowa? Jakaż to byłaby przyjemna dla nich wycieczka w krainę sztuki. Dobrze by było, żeby melomanami byli wojewodowie, prezydenci miast, dyrektorzy fabryk i szkół. Gdyby oni nie mogli się obywać bez filharmonii, to za ich upodobaniami poszłoby wielu, bo jak się już rzekło wyżej, przykład idzie z góry. O frekwencję słuchaczy w Filharmonii trzeba się starać, ale bez przesady, żeby nie zabrakło sił na rzeczy ważniejsze. Stokroć istotniejsze jest, że filharmonicy osiągają w swej pracy coraz wyższy poziom artystyczny, a ludzie chodzą na koncerty bez przymusu, bo wolność jest najważniejsza, po niej jakość. Ilości przysługuje łokata trzecia. Filharmonia daje koncerty w swej siedzibie i w terenie, symfoniczne i kameralne — ogółem sześćset rocznie. Jest się czym cieszyć.

WŁODZIMIERZ
LATEN-JANUSIEWICZ



Portret rodziny
Medynskich

Kopalnia odkrywkowa rudy

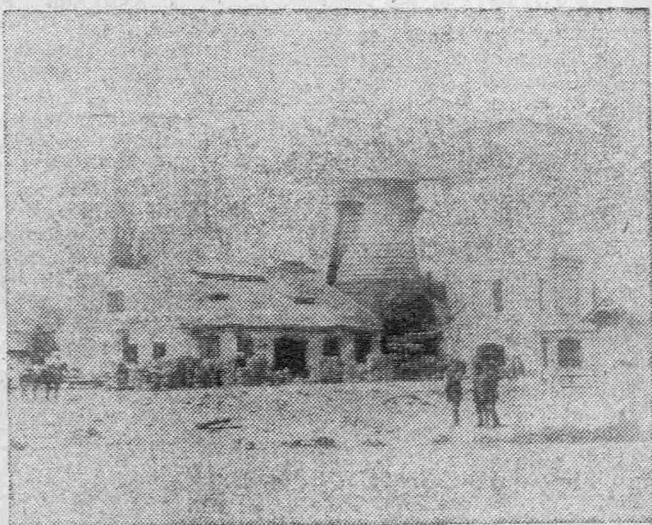




Sybirak, Wojciech Brzostowski, po powrocie z zesłania.



Hala i widok ogólny ostrowieckich zakładów hutniczych



Pani Irenie Guleckiej
z Kobiernik

KIELECCZYNA W FOTOGRAFII JÓZEFA GRODZICKIEGO

Wdzięk starych albumów

Czesław Erber

W NAJBLIŻSZYM czasie kielczanie obejrzą kilka wystaw fotograficznych o charakterze historycznym. Pierwsza będzie ekspozycja twórczości znakomitego fotografa radomskiego Józefa Grodzickiego (1854—1939), którego wielostronna działalność artystyczna i uznanie zdobyte na licznych wystawach krajowych, w Europie i Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, pozwalają nazywać jednym z najwybitniejszych przedstawicieli drugiego pokolenia fotografów polskich działających na prowincji.

Muzeum Okręgowe w Radomiu otrzymało ostatnio od jednej z wnuczek Józefa Grodzi-

ckiego wartościowe materiały rodowe, pozwalające na wywód Grodzickich herbu Łada z Wielkopolski, którzy w pierwszej ćwierci XIX stulecia osiedlili się w Warszawie. Dziadek naszego fotografa zamieszkał przy ulicy Świętojańskiej pod numerem 15. Drukowany spis mieszkańców stolicy z połowy wieku podaje już adres Grodzickich przy Krakowskim Przedmieściu i Józef senior figuruje tam jako właściciel kamienicy. Otóż kamienica ta, dziś oznaczona numerem 7, ma swój rodowód historyczny, literacki i fotograficzny: Grodzicy kamienicę tę, zwaną też czasem pałacem, utracili jako represjonowani po powstaniu styczniowym. Jak opisuje w swym obszernym pamiętniku Irena Gałęcka, na aukcję licytacyjną nie przybył wówczas solidarnie nikt poza plenipotentem generała Krasińskiego, ojca Zygmunta, który kamienicę kupił za przysłówiowego rubla. Tradycja literacka to umiejscowienie tu domu Wokulskiego w „Lalce” Bolesława Prusa, natomiast najbardziej interesująca dla nas pozostaje jednak tradycja „fotograficzna”, jeżeli wolno się tak wyrazić.

W kamienicy Grodzickich, położonej w sercu Warszawy, mieścili się kolejne salony fotograficzne Szczeplana La Coura i Meletiusza Dutkiewicza prowadzony do spółki z Ferdynandem Klochtem. Młody Grodzicki miał wówczas lat 12. W owym czasie fotografowanie się zaliczane było do obowiązującej mody. Młody Grodzicki uległ czarowi tego modnego wówczas zajęcia. Jednakże jego wtajemniczenia miały inny charakter niż normalne praktykowanie zawodu. Irena Gałęcka w swoich wspomnieniach o dziadku określa to jako „podglądanie”.

Na początku drogi życiowej młodego Józefa nie nie wskazywało, aby miał on zostać fotografem, gdyż obrał karierę wojskowego. Służył bowiem „jako huzar Lejb-Gwardii Grodzieńskiego Pułku Cesarszowej”. Nawiazane w Petersburgu i Warszawie stosunki spożytkuje potem w pracach społecznych dla Radomia, w którym osiedlił się na stałe na przełomie lat 1879/1880 po przejściu kampanii tureckiej i rezygnacji z zawodu wojskowego.

Pracę w zawodzie fotografa rozpoczął dwa lata wcześniej w Kielcach wspólnie z Bronisławem Wilkoszewskim. Oficjalnie

nazwa ich atelier brzmiała: „Zakład fotograficzny warszawski Wilkoszewski i Grodzicki”, co wcale nie oznacza, aby wcześniej prowadzili oni, jak to sugeruje Maciej Janik na łamach „Rocznika Muzeum Narodowego w Kielcach”, salon fotograficzny w stolicy. Zaprzecza temu literatura i wiarygodne źródła. Przymiotnik „warszawski” oznaczał wówczas w Kielecczyźnie chwyt handlowy. Jak pisze ówczesny autor i świadek Jan Nepomucen Chądzyński, większość towarów, wytworów rzemiosła i urządzeń technicznych właśnie na terenie Radomia reklamowana była mianem warszawskich.

Zakład kielecki mieścił się przy ulicy Dużej (dzisiaj Świerczewskiego), później zaś przeniesiono go do domu Kietlińskich przy ulicy Pocztowej. Nowa lokalizacja gwarantowała lepszą frekwencję. Oprócz atelier prowadzonego na miejscu, fotografowie odwiedzali okoliczne miejscowości, gdzie robili zdjęcia, głównie portrety. W 1878 r. zostali zaproszeni do chroberskiego pałacu zbudowanego przed laty na pomieszczenie muzeum i biblioteki połączonych zbiorów Konstantego Świdzińskiego i Wielopolskich. Było to nie lada wyróżnienie, bowiem Aleksander Wielopolski był wówczas osobą bardzo znaczącą. Miejsce w prasa chwaliła wykonane tam zdjęcia, które dokumentowały pałac ze wspaniałym parkiem i najbliższą okolicą.

Józef Grodzicki wpadł na bardzo oryginalny pomysł reklamowy. Zamiast ogłaszania tradycyjnych anonsów o istnieniu zakładu, miejscowa prasa umieściła wzmiankę następującej treści: „Dwie piękne niewiasty i kilku kielczan wykradziono... z wystawki fotograficznej przy ulicy Dużej. Kradzież ta spełnioną została wśród białego dnia z uszczerbkiem świeżo otwartego zakładu pp. Wilkoszewskiego i Grodzickiego”. Skutek takiej reklamy był piorunujący, gdyż w mieście zapanowała „fotografomania”. Fotografowali się niemal wszyscy: urzędnicy rządu gubernialnego, miejscowa paleta, wolne zawody, komisarze włościańscy, mieszczaństwo, a nawet okoliczni chłopcy. Redakcja „Gazety Kieleckiej” obawiała się, „aby wszystkie te pamiątki nie posłużyły za prezenta noworoczne, wówczas bowiem «na gwiazdke» nikt by więcej nie dostał oprócz... fotografii. A dziś czas tak pozytywny!”

Od roku 1880 Józef Grodzicki osiadł na stałe w Radomiu, gdzie otworzył już własny salon fotograficzny, który w niedalekiej przyszłości miał mu przynieść wiele wyróżnień i zaszczytów. Pierwsze atelier założył w gmachu „Hotelu Rzymskiego” przy głównej arterii miasta, ulicy Lubelskiej, gdzie mieściła się większość magazynów, sklepów, restauracji, warsztatów rzemieślniczych. Literatura i źródła dotyczące życia i działalności Grodzickiego w Radomiu nie dostarczają nam zbyt wielu wiadomości o początkach pracy w nowym środowisku, gdzie istniała silna konkurencja ze strony zakładu fotograficznego „Wanda”, który zamieszkał na łamach „Gazety Radomskiej” systematycznie anonsy o obniżce cen za usługi fotograficzne. Ostatnie z ogłoszeń ukazało się w końcu kwietnia 1885 r. i oznaczało upadek konkurencyjnej firmy.

Powstaje jednakże pytanie dlaczego Grodzicki po tak dobrym początku pracy fotograficznej w Kielcach przeniósł się do Radomia, gdzie napotkał silną konkurencję? Pomocą w rozwiązaniu tej zagadki może być fragment książki Wandy Mosakowskiej, znakomitej autorki specjalizującej się w dziedzinie historii fotografii, o krakowskim fotografie Walerym Rzewuskim, z której dowiadujemy się o istniejącym w Radomiu zakładzie fotograficznym jego brata, Bolesława, zmarłego w roku 1880 i pochowanego na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Być może śmierć Rzewuskiego skłoniła Grodzickiego do odkupienia zakładu.

Rok 1885, w którym upadła konkurencyjna firma fotograficzna, okazał się dla Grodzickiego wyjątkowo pomyślny. Na wystawie przemysłowej, zorganizowanej po raz pierwszy w tym mieście, Grodzicki otrzymał pierwszą w swoim życiu nagrodę w postaci listu kwalifikującego. Wystawa zbiegła się w czasie z podobną ekspozycją warszawską, na którą władze miejskie postanowiły wysłać dokumentację fotograficzną wystawy radomskiej. „Gazeta Radomska” donosiła: „tak więc nie całkiem będziemy tam nieobecni, staba to jednak pociecha, choć mówią nawiasem, widoki te są bardzo efektownie zdjęte”. Prawdziwy jednakże sukces o światowym wydźwięku nadszedł zza oceanu. Za zestaw prac wysłanych na

wystawę w Chicago w 1885 roku Grodzicki otrzymał złoty medal.

Wyróżnienie radomskie i nagroda amerykańska zdecydowały o dalszym powołaniu atelier. Artysta powiększył zakład i ogłosił na łamach „Gazety Radomskiej” wiadomość o naborze uczniów. Poszerzył też zasięg działalności o prace terenowe oraz wyposażył zakład w, najnowsze urządzenia. Związał się także zawodowo z malarzem i litografem radomskim, Marianem Kopińskim, który wziął na siebie obowiązek opracowywania robionych w atelier albumów fotograficznych.

Wykonywane teraz pracę cechuje wyjątkowa troska o stronę artystyczną. W maju 1886 r. fotograf podjął podróż parostatkami żeglugi wiślanej z Sandomierza do Puław, zdejmując już nowoczesnym „rewolwerowym aparatem miasteczka nadbrzeżne i zwaliska-zamków”. Podróż ta miała duże znaczenie dla badań etnograficznych z zakresu stroju ludowego, gdyż Grodzicki wykonał serię zdjęć dokumentujących ubiory mieszkańców Sandomierszczyzny. Ówczesne zainteresowania ludoznawstwem gwarantowały ich natychmiastowy zbyt. Podobnie rzecz miała się z zabawkową architekturą.

W czerwcu artysta dotarł do odległego Suchedniowa, aby fotografować „grupe całego pensjonatu żeńskiego”. W tym też czasie kończył serię portretów i ujęcia grupowe sandomierskich kleryków. Wykonane albumy pochwaliła „Gazeta Radomska”, wybijając na plan pierwszy poziom artystyczny i oprawę plastyczną autorstwa Mariana Kopińskiego. Znając zamilowania radomskich melomanów, wykorzystując częste odwiedziny w mieście różnych trup teatralnych, postanowił utrwalić na kliszy ich występy oraz „całe grupy z operetek wdzięcznie upozowane”. Ze zdjęć powstały albumy w różnych formatach i po zróżnicowanych cenach.

Na jesieni tego roku powstał kolejny i bodaj najcenniejszy album w historii Radomia, przedstawiający szereg wędut, ogrodów, obiektów sakralnych i okazalszych gmachów, składający się z pięćdziesięciu starannie oprawionych fotogramów dużego formatu. Album musiał się radomskiej publiczności bardzo spodobać, skoro mający się ukazać w roku następnym kalendarz dla pań „Radomianka” zapowiadał, że ugnarowany zostanie kilkoma fotografiemi ra-

domskimi. Sukcesy artystyczne, jak też i wcześniejsze stosunki w sferach wojskowych, zwróciły na Grodzickiego uwagę dworu petersburskiego, w następstwie czego został on nadwornym fotografem Aleksandra III i uczestniczył w roli reportera w wielu wydarzeniach natury dyplomatycznej i wojskowej.

Jako bodaj jedyny fotograf tamtych czasów uczestniczył w manewrach wojskowych pod Dęblinem, które udokumentował sporządzając specjalny album kolportowany zarówno w kraju jak i za granicą. Jeden z nich powędrował nawet do Paryża, gdzie także Grodzicki znany był ze swych prac, wyróżnianych medalami. Jako nadworny fotograf uczestniczył w polowaniach w lasach spalskich. W roku 1889 odbywały się wielkie zapasy myśliwskie zorganizowane przez dyplomatów rosyjskich celem zjednania sobie szacha perskiego. Za wykonanie na tym polowaniu zdjęcia, które zawiózł osobiście do Warszawy, odznaczony został przez szacha orderem „Lwa i Słońca”. Uczestniczył też w przejeździe przez Kielecczynę króla serbskiego, Aleksandra. Wykorzystał przymusowy postój (zapalenie się osi wagonu monarchy) na stacji w Jędrzejowie na reportaż fotograficzny.

Najbardziej wartościowe dla historyków Kielecczyny i jedyne w swoim rodzaju są albumy Grodzickiego dokumentujące prace robotników wielkoprzemysłowych Ostrowca i Starachowic. Powstały na zamówienie polskich przemysłowców eksportujących swoje wyroby na rynek wielkorosyjski. Prace te datowane są na rok 1896 i wykonane zostały w kilku tysiącach egzemplarzy w dwóch formatach: powiększonym formacie gabineutowym i okazałym bardziej gabarycie, w luksusowej oprawie introligatorskiej. Całością, tak niespotykanego w historii zakładu zamówienia kierował sam Grodzicki, pracami plastycznymi wspomniany już wcześniej litograf i malarz, Marian Kopiński. „Gazeta Kielecka” podkreślała szczególną elegancję i wdzięk wykonanych albumów.

Obydwa albumy zawierają 24 zdjęcia obrazujące przebieg prac w hucie. Mniejszy album otwiera zdjęcie panoramy huty, przedstawienie wielkiego pieca na blizszym planie i w ujęciu panoramicznym, ukazane są wnętrza kuźni, hali maszyn, laboratorium fabryczne, prace w kopalni odkrywkowej rudy. Całość

kompozycyjnie tak została pomysłana, aby oddać tok pracy w zakładzie wielkoprzemysłowym. I chociaż artysta wykonywał te zdjęcia aparatem tzw. rewolwerowym, nie pozbawione są „upozowania”. Szczególnie efektowne wypadły zdjęcia przeznaczone do większego albumu. Znana jest z racji kilku reprodukcji fotografia obrazująca pracę w hali, fabrycznej z przeszklonym dachem, przypominająca w swoim nastroju atmosferę malarstwa impresjonistycznego.

Albumy te zasługują na uwagę i z innego względu: są bodaj jednym z najwcześniejszych przykładów nowoczesnego marketingu. Lata 1896—1901 to okres prosperity w Okręgu Zachodnim Staropolskiego Zagłębia Przemysłowego i wysłane na targi w Niżnym Nowogrodzie albumy miały dobitnie świadczyć o korzystnych przemianach oraz przyczynić się do ewentualnych zwiększonych zamówień na produkowane wyroby metalowe. Z zamówieniem tym wiąże się nadto osobiste zaangażowanie Grodzickiego, już wówczas udziałowca, a od roku 1905 nadzorcy w Dobrach Górniczych Okręgu Zachodniego.

To krótkie przypomnienie sylwetki jednego z najbardziej utalentowanych fotografów polskich działających na prowincji zakończył wypada przypomnienniem, że w ostatnim roku XIX stulecia Józef Grodzicki uhonorowany został złotym medalem na kolejnej wystawie przemysłowej w Radomiu, mieście, któremu przysporzył sławy na wystawach krajowych i zagranicznych i któremu poświęcił całe swoje życie pełniąc tu wiele społecznych funkcji. Był prezesem Komitetu Nadzorczego Towarzystwa Kredytowego Miejskiego, członkiem Komitetu Nadzorczego Czytelni Bezpłatnej Rzemieślników i Niezamożnych Mieszkańców miasta Radomia, członkiem wspierającym Towarzystwa Dobroczynności, człowiekiem wielkiego serca. □

CZESŁAW ERBER

PS. Przygotowania do wystawy retrospektywnej Józefa Grodzickiego potrąją jakiś czas, obejmą penetrację archiwów, muzeów i bibliotek. W pracach tych nie powinno zabraknąć udziału mieszkańców Radomia i Kielecczyny. Prosimy zatem o nadsyłanie wszelkich wiadomości o życiu i fotografiach artysty pod adresem autora: Czesław Erber, Kielce 14, skr. poczt. 503.

(Zdjęcia reprodukowali Krzysztof Erber).

TO POLAND AND VICTORY

Jeszcze w Szkocji

Józef Z. Głogowski

CODZIENNIE wyjeżdżaliśmy w teren, by zapoznać się z przygotowaniem do inwazji. Każdy zaopatrzeniowiec musiał dobrze poznać swoje zadanie, aby w „polu” nie trwonić pieniędzy i nadziei na zwycięstwo.

Tu muszę wyznać, że z tak skrzętną organizacją i drobiazgowym rozwiązaniem każdego problemu nie spotkałem się dotąd. Najtrudniejsze wydawało mi się oszacowanie zasobów żywnościowych dla kilku milionów ludzi na czas inwazji i okupacji, konserwacja, magazynowanie, transport. Sery, masło, syropy słodowe, konserwy, dżemy i różne przyprawy korzenne nie w słoiczkach, ale w 10-litrowych pojemnikach, zajmowały całe piętra w olbrzymich chłodniach, które najpierw ktoś musiał zbudować.

Pojęcie przechodzi, kto wyliczył, że tyle skonsumujemy.

Żołnierz francuski nie wyruszy na wojnę bez wina! Gefrajter austriacki czy węgierski katoną do szturmów zawsze otrzymywali baniak rumu dla animuszu, Anglicy, naród z chłod-

ną rozwąga — nie rwią się do tego rodzaju ekscesów, ale po skończonej batalii, w kasynie — gdzie by nie było — barman w białym kitlu każdemu podaje jego przydział whisky.

Ktoś pomyślał o tym, aby służba zaopatrzenia dzieliła ten napój pomiędzy oficerów i podoficerów, od sierżanta włącznie. „Kings Regulation” (Regulamin Królewski) nic nie mówi o przydziale whisky dla szeregowych.

Cysterny kolejowe sprowadzały codziennie tysiące litrów ze Szkocji i tutaj, za Londynem, whisky sprawnie butelkowano, aby w obszarze kilkudziesięciu km kw. pod ziemią wszystko zmagazynować.

Oprócz whisky, było sherry oraz porto australijskie i sok pomarańczowy, jako przydział dla marynarki i RAF-u.

Obok państwowego zaopatrzenia, które wyżej wymienilem, działało jeszcze zaopatrzenie półprywatne — NAAFI (Naval, Army and Air Force Institute — jednostka zaopatrzenia marynarki, armii i sił powietrznych). Pobierając tam artykuły i żyw-

ność płaciło się według zniżonych cen państwowych. Ta instytucja zainteresowana była szeregowymi. A więc przydział czekolady na tydzień, przydział papierosów, zyletek, mydła do golenia, ciasta z rodzynekami — coś w rodzaju naszego sernika, szynka wędzona, boczek, sos pikantny do obiadu — ten był zakupywany przez kompanię tak jak pieprz, sol i musztarda — oraz inne przyprawy i jarzyny ze skupu prywatnego. Pieniądze na kupno tych artykułów z NAAFI otrzymywał oficer żywnościowy kompanii według wykazu stanu kompanii — 3 pensy na żołnierza dziennie — z kieszeni „Jego Królewskiego Majestatu”. Nie było to dużo, ale sprytny zaopatrzeniowiec mógł sobie pozwolić na kupno złotego funta co miesiąc, jeśli chytrze kombinował.

Sprawy amunicyjne należały do specjalnego działu i mnie nie dotyczyły, a jako benzynowiec zostałem wysłany nad morze, gdzie zakładano tak zwaną „PLUTO” (Pipe Line Under the Ocean — linia naftowa na dnie oceanu). Wszystko nad brzegiem morza tak rozmieszczono i wymierzono, by z chwilą inwazji okręty specjalnie do tego celu wyznaczone mogły ruszyć do Francji, ciągnąc po dnie morskim giętkie rury do przesyłania benzyny na drugą stronę.

Chytry naród ci Anglicy! Potrafia, szybko się uczyć. Przywieźli z Afryki niemiecki pojemnik 20-litrowy na benzynę — migiem go przerobili po swojemu i natraskali miliony na inwazję. Do chwili skontaktowania się z Niemcami, Anglicy mieli różnego rodzaju bańki na benzynę, olej, terpentynę i ropę. Wszystko było nieporęczne, niepraktyczne, okragłe. „Jerry-can” (szwabska bańka) był idealnym pojemnikiem do transportu. Od czasów walk w Afryce wszystkich transport płynów w Armii Brytyjskiej wożony był w „Jerry-canach”: ciemnoniwekowe na benzynę, białe na wodę pitną, czarne na olej do diesla, niebieskie na terpentynę oraz wiele innych w służbie sanitarnej.

Kurs zakończyliśmy wspólnym obiadem (ze starszyzną) w kasy-nie, wspólną fotografią na we-
randzie hotelu i po pożegnal-
nym przemówieniu brygadiera
rozjechaliśmy się do własnych
jednostek.

Zanim zdążyłem zameldować
swoją powrót z kursu, kapitan
już był w pokoiku. Jak to do-
brze, że cię bratku mam z po-
wrotem, będziesz zastępcą por.
Stefana W. Wspaniały oficer,
pancerniak z Żorawicy, zgracie
się piorunem. Dziś jeszcze zgłoś
się do niego, mieszka ze swoimi
żołnierzami, urabia ich po swo-
jemu. Zaprowadzi cię służbo-
wy.

Nie trwało długo, wpadł służ-
bowy. Wpadł?! Wleciał jak hu-
ragan! Rozejrzał się po pokoiku
— żadnego salutowania ani mel-
dowania — popatrzył na mnie
z zaciekawieniem i zapytał cie-
kawą gwarą śląsko-poznańsko-
kaszubską: „Czy to wyście są
ten nowy oficer, co żek przyje-
chali dziś rano?”

Znając styl i to swojskie,
szczerze, parafialne i rozlewne
podejście służbowego kompanii
natychmiast zorientowałem się
o co chodzi i z kim mam do
czynienia. Nie mogłem mu od-
powiedzieć narzeczem, któremu
on hołdował, aby nie posadził
mnie o cyniczny wyskok w
święte tereny jego wychowania
i kultury, ale również w sposób
wielce przyjacielski przedstawi-
łem się kim jestem, mój przy-
dział do tak zacnej kompanii,
szczęście i radość z tego wyda-
rzenia zwiastującego, że z po-
mocą boską, wspólnym wysił-
kiem na pewno uda nam się
pówtórnie stanąć na ziemi oj-
ców naszych.

Przez moment wydawał się
wielce zakłopotany. Na pew-
no ważył moją wypowiedź raz
jeszcze, ale po chwili z miną
świadczącą o decydującej kon-
kluzji — wykrzyknął: „No to
zabierać się, a jo żek sam po
to, co was poprowadzę”.

To był mój pierwszy żołnier-
ski krok wstępny do Kompanii
Zaopatrzenia i jednocześnie za-
powiedź tego, co mnie czeka.
Porucznik Stefan W. przywitał
mnie w gaciach!

Po nocnych ćwiczeniach jazdy
w terenie cała kompania spała,
a Stefan jako odpowiedzialny za
całość ćwiczeń zbierał do same-
go rana „zagubionych” kierow-
ców po całej południowej Szko-
cji. Po kurtuazyjnej wymianie
kilku zdań przyglęliśmy do sie-
bie. Stefan z domu otrzymał sta-
ranne wychowanie. W każdej
sytuacji wiedział jak się zachow-
wać. Wobec każdego miał — jak
na zawołanie — styl, ton i wy-
powiedzi, które schlebiali tym
co Stefana słuchali. Miał cha-
rakter gładki, giętki, elastyczny
i w trudnych sytuacjach nie
okazywał niezadowolenia wobec
podwładnych. Ale za to miał
sierżanta, który te rzeczy robił
cudownie!

Podczas poobiedniej przerwy
wpadaliśmy ze Stefanem do mo-
jego baru, nad którym mieszka-
łem i przy bani z piwem za-
poznał mnie „gdziem wpadł” i
pouczył, jak mam lawirować,
abym wyszedł na cało i na swo-
je.

Kompania miała 70 wozów
3-tonowych (roboczych), trzy
wozy kuchenne, jeden beczko-
wóz, jeden wóz 6-tonowy repe-
racyjny z dzwigiem. Dowódcy
plutonów mieli małe „austiny”
osobowe, ja miałem jeepa. Do
regulacji ruchu w czasie jazdy
było w kompanii 12 motocykli-
stów; po trzech na każdy plu-
ton plus trzech gońców pocztow-
ych.

Jak przedstawiał się materiał
żołnierski?! Jacy ludzie tworzyli
tę kompanię?

Jeśli kiedykolwiek, w jakiej-
kolwiek jednostce dowódca o-
trzymał rozkaz, aby „nadwyżkę
stanu” wysłać do kompanii za-
pasowej, wysyłał najgorszych
ciesząc się jednocześnie, „że tak
dobrze się złożyło i kłopot ma
z głowy”.

Moja 3 Komp. Zaop. I Dyw.
Panc. — w tym mój pluton ho-
dajże najgorszy — składała się
z takich „przebieków”. Byli w
niej hataśliwi i kłótniwi górnicy
z Lille, gburawaci Westfalczy-
cy z francuskiego zagłębia Saary,
niedobitki komunistycznych bel-
gijskich ochotników wojny do-
mowej w Hiszpanii z Legii Cu-
dzoziemskiej, pół-Niemiec, pół-
Francuz, kilku „amigos” z ar-

gentyńskiej pampy i z brazylij-
skiej Mato Grosso. A uzupeł-
nieniem tej zbieraniny byli Po-
lacy z węgierskich i rumuńskich
obozów internowanych. Jako ca-
łość wszyscy byli zdolni do ws-
zystkiego, tylko nie do woj-
ny.

Każda grupka czy kółko tych
przeróżnych nacji starała się
podkreślić swoją wyższość ling-
wistyczną, swoje „co to ja”. Ci
z Argentyny czy Brazylii trak-
towali wojnę o Polskę jako
szczęśliwy przypadek losu, któ-
ry ich wybawił z okropnych
warunków społecznych. Lub —
znałem dwóch takich — zwol-
nieni z dożywotniego więzienia,
podpisali urzędowy cyrograf, że
po skończonej wojnie do Argen-
tyny nie wrócą. Francuzi, Belgo-
wie czy też Westfalczyki tylko
czekali na skok na drugą stro-
nę, a tam już się sami w tłumie
stracą i „nie trza nas demo-
bilizować”. Z takim wojskowym
nastawieniem cóż tu można było,
mówić o patriotyzmie, o cnotce
żołnierskiej i o miłości do oj-
czyzny. Ale coś należało robić!

Kapitan zaczął urządzać od-
prawy, pogadanki, lekcje, „prze-
mowy do serca”, ale jakoś nic
nie brało! Nagle — i to bardzo
szybko — otrzymaliśmy nowy
sprzęt wojenny, samochody ame-
rykańskie, broń, oporządzenie,
berety i „skrzydełka” dywizji na
rękaw. Była to zapowiedź, że na
coś się zanoszą.

Pierwszym przykazaniem kom-
panii samochodowej była dyscy-
plina jazdy w kolumnie. Czy pod
górze czy z góry 30 wozów ko-
lumnny musiało przestrzegać
przepisowej odległości między
sobą, a kierowcy musieli pamię-
tać, że odległość jest wykładni-
kiem szybkości. Reszta zależała
od kierowcy, jego intuicji i
przewidywania sytuacji.

Ponieważ kompania była za-
kwaterowana w Galashills (mia-
sto włókiennicze w hrabstwie
graniczącym z Anglią) trudno
nam było rozbijać się z tak wiel-
kim taborem wózów ciężarow-
ych wśród miasta i okolicznych
wiosek. Kapitan w porozumie-
niu z dowódcą Okręgu Korpusu
Szkockiego, wybrał półdziki te-
ren u podnóża Wału Hadriana
(tego, co w I wieku naszej ery

bronił się tu przed Szkotami i Piktami) i tam używaliśmy sobie co niemiarą.

Ponieważ na czas wojny wszystkie drogowskie, nazwy miast, rzek oraz wszelkie napisy, które mogły zdradzić współrzędne osiedla zostały usunięte, bez mapy w obcym kraju człowiek był jak tabaka w rogu. Zdarzało się nieraz, że kolumna 30 wozów przez nieuwagę prowadzącego „z mapy” zboczyła z głównej drogi (która niczym nie różniła się od drugorzędnej) i jadąc przez 10–15 min. zajechała na farmę! Ani wykręcić, ani cofnąć, ani się dogadać: 30 wozów stoi jeden za drugim, dowódca kolumny czerwony jak burak jaką się po angielsku, a kierowcy we wszystkich ludzkich językach z sarkazmem starają się mu pomóc. Farmer widząc, że tylko on coś może zdecydować, otworzył bramę na swoje podwórze, wskazał drogę pomiędzy stodolami, poprzez zapola, między brogami i opłotkami obok grąbów rolniczych, wyprowadził cały konwój na wielką łąkę, jadąc na przodzie traktorem. Tam było dużo miejsca, aby wykręcić.

Tereny wschodniego wybrzeża Szkocji z uwikłaną siecią dróg, kepmi dekoracyjnych sadów ogrodów wokół feudalnych posiadłości, stwarzały bardzo często kłopoty z uwagi na niewiarygodność, za zakretem. Zawsze ktoś z kolumny się gubił, a nieraz kilku. Wracamy na kwatery, a tu brakuje trzech lub czterech wozów. Gdzie ich szukać? Pchor. Dziedziewicz, stary lwowski „tytytka” wymyślił sposób, który wszyscy dowódcy kolumn stosowali na ćwiczeniach w okolicach Duns, Dunbar czy też North Berwick.

W North Berwick, czysto i schludnie utrzymanym mieście, gdzie ludzie z forsa z Edynburga kupowali wille jako ustronie na stare lata, znajduje się wielki kopiec uspany podobno przez dziwaka, który zrobił majątek w Indiach i tak wyraził swoją wdzięczność za pomysłny powrót do miejsca urodzin. Wysoki, szpiczasty, zwieńczony „bramą” w postaci kłów słoniowych stykających się ostrzami.

Na wschodnim wybrzeżu Szkocji ten kopiec widoczny jest w promieniu 30 mil! Nasz podchorąży przed wyruszeniem w teren miał bardzo krótką odprawę z kierowcami: — Trzymać odległość, zachować szybkość, a jeśli który się straci — jazda na kope! Po zakończonych ćwiczeniach sam jechał „na kope”, a tam ładnie wyrównane w szeregu stały 3 lub 4 wozy czekające swego zbawiciela.

Pośród całej zbieraniny włóczków, obiboków i zbierzeńników o miernym nastawieniu do współzycia żołnierskiego, znalazło się kilku inteligentnych i przedsiębiorczych, których wychowało życie, nieraz bardzo trudne.

St. sierżant Michał Jemolita z Poznania rodem. Tam się wychował, skończył praktykę czeladniczą u Cegielskiego, wyzwolony majster-mechanik odbył staż rzemieślniczy w kilku zakładach, aby poznać co robią inni, osiadł jak gdyby na stałe w malej, ale świetnie prosperującej firmie blacharskiej, której specjalnością były przemysłowe przewody wentylacyjne. W roku 1935 zarządca dóbr ziemskich ks. Radziwiłłów, w ramach przetargu handlowego zwrócił się do firmy blacharskiej, która przetarg wygrała, aby na jednej z posiadłości koło Nieświeża wybudować kilka wiatraków do pompowania wody. Ponieważ Michał Jemolita robił wszystko tak dokładnie, jak Michał Anioł, firma wydelegowała go, aby rozjeździł się w terenie i zdał sprawozdanie, czy można coś zrobić i z jakim zyskiem. Wiele fachowych rozwiązań mechanicznych przy wiatrakach, w młynach, kominach fabrycznych, stawach i upustach było dziełem talentu Michała. Na Podolu zastała go wojna.

Jedyna rzecz, której Michał nie mógł się wyzbyć od chwili gdy został dowódcą czołówki reperacyjnej, to po prostu miłość do smarów i olejów. Jego spodnie, battle-dress, beret i buty były tego świadkami. Czy to ubranie robocze czy dreluchy, a nawet wyjściowy „garnitur” — wszystko zdawało się zdradzać, że ich właściciel jest co najmniej wiertnikiem z Teksasu.

Chłop był słusznego wzrostu. Jego proporcjonalnie do wzrostu długie ręce wydawały się w marszu jakby nie jego, bo biedny Michał nie mógł skoordynować ruchów rąk z nogami od chwili, kiedy spadł z wiatraka. Piękne, szaroniebieskie oczy wcale nie pasowały do twarzy, w której były osadzone. Olbrzymie, krzaczaste, rudawe brwi, spłaszczony nos od ciągłych awantur w czasach wczesnej młodości, wielka brodawka u nasady nosa z trzema długimi czarnymi włosami oraz trzy duże żółte zęby w górnej szczękę były oznaką burzliwej młodości tego krzewiciela mechanicznej kultury na wschodnich rubieżach naszej ojczyzny. Pod sfatygowanym battle-dresem było prawdziwe polskie serce.

Pewnego razu dowódca i kilku oficerów zostaliśmy zaproszeni na pokaz nowego sprzętu w rejon ćwiczeń połowych Armii Brytyjskiej koło Newcastle. W drodze powrotnej nawalił nam wóz. Ujechaliśmy zaledwie 40 kilometrów, do koszar jeszcze sześćdziesiąt. Wokół nas pustka. Gdy już wszystkie próby naszej motoryzacyjnej świadomości zawiodły, mnie, jako najmłodszego i z jakim takim angielskim wysłał kapitan do najbliższej farmy, abym zatelefonował do swoich o ratunek. Co za radość. Do anaratu, jako oficer służbowy, zezwolił się Michał. Wviaśniłem, jak do nas zjechać. W niespełną godzinę pojawił się Michał swoim furgonikiem ze specjalnym dyszlem, by wziąć na hol naszego humbera. Ruszamy. Jechaliśmy wolno. Po pół godziny woda w chłodnicy furgonika zaczęła się gotować. Należało szukać rzeczki czy strumyka, a tu, iak na złość, wszędzie sucho. Przelaliśmy wodę z humbera, ale to niewiele pomogło. Zbliżaliśmy się do jakiejś wielkiej posiadłości. Jadąc wzdłuż okalającego ją muru, nasz Michał postanowił polskim zwyczajem „wstąpić do ludzi po wodę”.

Po kilku minutach jazdy ukazało się zakole w murze i wielka, co najmniej czterometrowej wysokości, podwójna żelazna brama z boczną furtką (dla pie-

szych niższego rzędu) przechodząca przez gate-cottage, furtiana-strażnika i opiekuna tego zabytku. Angielskie bramy żelazne strzegące wjazdu do zamków i pałaców są prawdziwymi dziełami sztuki kowalsko-słusarskiej. Fantastycznych kształtów spłoty powojów, bluszczy, róże i lilie rozpostarte na kanwie bramy, która jest tworem geometrycznych grymasów kowala-artysty. Wszystko kute w żelazie. Nikt na świecie nie potrafił dorównać angielskim majstrom z XVIII i XIX wieku.

U węgłowia tej imponującej bramy, pod książęcą koroną, dwa lamparty szczerząc kły podtrzymywały herb mieszkańców tego zacisza.

Podjechaliśmy bliżej. Inicjatywę przejął Michaś, mający jakie takie otrząskanie z Radziwiłłami. Brama zamknięta, wszędzie cisza aż mroziło. Michaś, czy to ze zgrzyoty czy też naumyślnie — nacisnął klakson. Gdzieś na peryferiach zamkowych zabulgotały indyki i wrzasnęły pawie, a zarazem ukazał się furtian w stroju, który zdradzał przynależność do klanu pracowników tego tylko domu. Coś powiedział, ale bez powitalnego akcentu. Nie otrzymawszy odpowiedzi, zbliżył się do bramy, a Michaś gestykulując wskazał na buchającą parą chłodnicę. Furtian otworzył bramę. Jechaliśmy asfaltową drogą wśród buków i jaworów. Drzew przybywało, stawały się coraz wyższe i starsze. Robiło się ciemno w tej leśnej świątyni. Nagle wjechaliśmy na skąpaną w słońcu przestrzeń. Cóż za widok! Naszym oczom ukazał się długi na jakieś półtora kilometra, wysypiany starannie uwalowanym różowym żwirkiem, równiuteńki jak stół, ale wznoszący się nieznacznie — pas szerokości co najmniej dwudziestu metrów z pobocznymi tej samej szerokości z pięknie przystrzyżoną trawą, ograniczonymi wysokopiennym lasem iglastym. Tę wspaniałą perspektywę zamykał u końca wzniesienia, pyszniący się bielą piaskowca, pałac markizy Horn. Pałac ten, z kolumnadą i imponującym zajazdem, schodami i balustradą, tworzył cacko architektoniczne o szlachetnej syme-

trii i proporcji, harmonijnie powiązane z otaczającą naturą.

Podjechaliśmy.

Przed przyneypalne odrzwia, przed schody wiodące do wejściowej kolumnady, zajeżdżają tylko królowie i książęta, a my? Dla nas była podobno boczna bramka, przez którą po cichutku, aby nie mącić spokoju życia magnackiego, jeżdżą piekarz, rzeźnik, ten co okna myje, ogrodnicy, ten co wywozi śmieci.

Patrzyło na nas sto pustych okien.

Michaś podskoczył po schodach aż zadudniło pod kolumnadą i szarpnął za pozłacaną klamkę, aby obudzić odzwierne go. Za chwilę ukazał się butler. Spokojnym krokiem, akcentując majestat otoczenia, lekko przygarbiony, podszedł do Michasia na protokolarną odległość i bezdźwięcznym głosem oznajmił gotowość swej osoby do spełnienia każdego życzenia: — What can I do for You Sir? (Czym mogę panu służyć?). W hierarchii możnowładczych domów angielskich butler zajmuje bardzo wysoką pozycję. Pierwszy jest król, drugi książę i pan domu, a butler jest jego bezpośrednim podopiecznym, wszystkim wiedzającym i wszystkim umiejacym, punktualnym i na każde zawołanie w w dzień i w nocy, czy to w domu, czy to w podróży. Jest zawsze panem swego Pana.

Michał oczywiście nie wiedział o co chodzi, ale będąc przecież oblatanym, krzyknął „Woda kaput!” i pokazał na parujący wlot chłodnicy, a jednocześnie przeciągnął krawędzią dłoni przez szyję. Butler znikł za wielkimi drzwiami, aby po upływie pół minuty ukazać się ze srebrną tacą, na której stała kryształowa szklanka z wodą. Nie wypadło nam ryknąć pustym śmiechem, ale dusiliśmy się, kiedy Michaś po wypiciu wody „ręcznie” wyjaśnił, że owszem, chcemy wody, ale do samochodu...

Sierżant Michał Jemolita pomimo swej oblesnej twarzy i wyglądu zawadiaki był nie tylko uczciwym i z sercem człowiekiem, ale pierwszej klasy mechanikiem, wynalazcą i kon-

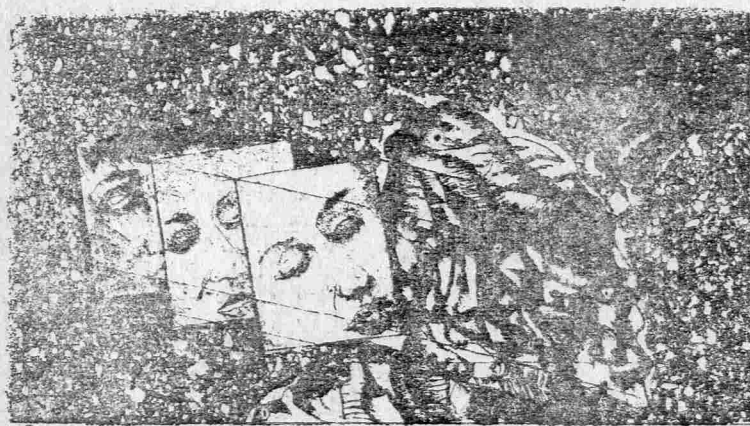
struktoorem. Jeśli ktoś w kompanii miał jakiś problem, Michaś okazywał się ekspertem, który wszystko potrafił. Za wyjątkiem spraw miłosnych. Kiedyś, a było to na Podolu, zakochał się w hożej Ukraince, której wdzięk uroczy i rozłożyste biodra zwróciły uwagę naszego Michasia. Ale najważniejszym atutem był... jej brat. Podobno żaden szewc — według słów i oceny Michasia — na wschodnich polaciach Rzeczypospolitej tak butów nie robił, jak Piotr Baryłko. Ten biegły fachowiec z chwilą otrzymania od wuja z Ameryki maszyny do szycia butów nie dał się odciągnąć od warsztatu. Jego specjalnością były buty oficerskie, które ciągle ulepszał i poprawiał. Michaś dostrzegł talenty Baryłki i postanowił wraz z nim założyć — marzył mu się Lwów — fabrykę butów na wzór Baty. Wszystko już było umówione, czeladnicy od Baryłki rwali się do roboty jak szatany, aby jak najszybciej wyrugować Batę z Polski. Wojna położyła kres tym zamierzeniom.

Michaś podczas całej kampanii słynął z wyczynów i zawadiackich wypadów aż do samego Renu, gdzie go pożegnałem odjeżdżając do Szkocji na szkolenie uzupełnień naszych szeregów. Nieraz go wspominałem gubiąc się w domysłach, co się z nim stało. Aż tu po dwudziestu latach, w Glasgow, w uniwersytecie, gdzie pracowałem, dziekan wydziału architektury powiedział mi mimochodem, że jeśli mam jakiś kłopot z zegarem, odkurzaczem, kosiarką do trawy, barometrem lub starymi zabawkami mechanicznymi — to jest taki majster w mieście, który to wszystko potrafi uruchomić. Ma swój dom i warsztat na Marylin Road 35, a nazwisko — zaraz, mam zapisane, na pewno jakiś cudzoziemiec — Jemolita. Zdębiałem. Michaś mieszka w tym samym mieście, co ja. Ale o tym później.

W dowódczych jednostkach dywizji odczuwało się napięcie, że zanosi się na wyjazd i to szybko. □

CDN

JÓZEF Z. GŁOGOWSKI



MAREK WAWRO — „Wielki sen” (akwaforta)

Okno, za którym deszcz

Marek Dudziński

I.

Gdybym choć mógł włożyć inne buty...

Niestety, przyjęcie urodzinowe ma swoje prawa. W kałozach iść nie wypada, a zwłaszcza do kobiety. A gdy kobietą tą jest na dodatek Stella... Mój Boże, dla niej i tak bez różnicy: mógłbym przyjść boso i goło i też nie okazałoby zdziwienia czy niechęci — ale! Ale przecież tam będzie Guccio! Wprawdzie ten dżentelmen to rozdział zamknięty (jak twierdzi Stella), ale z pewnością nie zniosę widoku jego obutych w zagraniczne kamasze krzywych kulosów. Basta! Tego byłoby za wiele: choćbym miał wypożyczyć garderobę, nie mogę wypaść poniżej jego zachodnioeuropejskiego stylu. Naturalnie, naturalnie — to jest niemożliwe. W najlepszej swojej odzieży (garniturek) będę wyglądał jak chore na gruźlicę minimum socjalne. Cóż do jasnej cholery można na to poradzić, że jestem bogaty jak reńcista?! Nic właśnie.

— Nie mogę zrobić wstydu Stelli... — mruczałem pod nosem, dopinając koszulę pod szyją. — Wyobrażam sobie wytrzeszczone gały bab, koleżaneczek, przyjaciółce itp. Z pewnością czekają na ciekawe widowisko.

Srojrzenie w lustro napęliło mnie rozpaczą. Włosy rozlały się, wskutek mycia, po całej głowie i nie chciały przyjąć żadnych kryteriów formalnych; opuchlizna policzka pomimo nieustannego sowania okład w nie zmalała, natomiast ogólnie rzecz biorąc aparycja... Hm, sprawa wydawała się beznadziejna.

Dopiąłem spódnice. Jasne, że były za krótkie — musiały skurczyć się w praniu. Zresztą nie korzystałem z nich od dobrych dwóch lat.

— Za krótkie...? — rzekłem w zadumie. — Wobec tego dziura w skarpetce będzie, niestety, widoczna gołym okiem.

Usiadłem w fotelu i wykreciłem numer (telefoniczny).

— Halo! Tak, Zbyszek mówi. Słuchaj, stary, nie masz jakich niepotrzebnych skarpetek...? Jak to: nie wykupiłeś?! To są jakieś talony?!... Andrzej, chyba coś gołnałeś! A skąd miałem wiedzieć? Mam trzy pary skarpetek, zresztą nie chodzę po sklepach. No tak, ale one są dziurawe! Wszystkie trzy pary, a ja idę na przyjęcie urodzinowe. Nie rób sobie dowcipów, baranie, bo to jest poważna sprawa... Właśnie. Zacerować...? A wiesz, ty chyba masz rację. To słuchaj! Może buty mi pożyczysz. No, nie wyszły mi od wczoraj. Na kaloryfer? To u ciebie grzeją? Sezon grzewczy, wiem, wiem, tylko że nie grzeją u mnie. Nie, no mam jeszcze trampki i kalosze... rozumiesz...? To nie, może masz krawat. ZSMP-owski, to nie, nie. Prosiłem, żebyś nie robił żartów? Musisz przecież mieć jakiś krawat! Pożyczyłeś? Trudno. Słuchaj, co zrobić z przeczłizną na głbie, żeby zeszła? Agnieszka mi dała w mordę. No spuchło, spuchło, przecież inaczej bym nie pytał! Jakiś ty ciekawy. Jakoś jej się nawinałem pod rękę... Nie, to już przeterminowany związek.

Andrzej przejawiał nadmierne zainteresowanie szczegółami technicznymi mojego starcia z Agnieszką i prawdopodobnie nie mógłbym uwolnić się od jego natręctwa, gdyby nie skrzypnęły drzwi wejściowe.

— Przepraszam cię, stary — powiedziałem. — Nie, nie... muszę... Cześć.

Odłożyłem słuchawkę i wybiegłem do przedpokoju. Agnieszka wieszła właśnie przemoczony płaszcz. Rozłożona parasolka sączyła strugi wody na wyłożoną gazetami podłogę. Stałem jak wryty: dziewczyna tymczasem spokojnie stała przed lustrem i zaczęła grzebać w torebce. Po dłuższej chwili wydobyła grzebień oraz szczotkę z zębami, które z równym powodzeniem można byłoby umieścić w ma-

dejowym łóżu — tak, najspokojniej w świecie czesała się. Była ubrana wyjątkowo starannie: zawsze przejawiała dbałość o swój wygląd (była piękna, chociaż do dziś nie pamiętam koloru jej oczu oraz wymiarów), ale teraz... To przeszło ludzkie pojęcie. Gdy odwróciła się w moim kierunku po dłuższej chwili — moje osłupienie uległo pogłębieniu. Tym razem stanowiła europejską klasę, ba — nieco lepiej niż europejską!

— Przyszedł — powiedziała z wdziękiem i uśmiechnęła się łagodnie.

— Oddać klucz — bąknąłem, chociaż jej czar kusił mnie nadzwyczaj do otwarcia raz jeszcze rozdziału, który uznałem za zamknięty.

Spojrzała na mnie z namysłem, ale... W końcu uśmiechnęła się z wyrozumiałością i wyminęła mnie tanecznym krokiem, przechodząc do pokoju. Patrzałem bezwiednie na jej kształty, obleczone jakąś zwiewną tkaniną, której nazwy nawet nie próbowałem dochodzić. Zdaje się, że w przemarszu tym Agnieszka wydatnie pracowała biodrami, co zrobiło na mnie raczej komiczne wrażenie, niemniej...

Niemniej jednak ciekaw rozwoju wydarzeń i ja przeszedłem do pokoju, zapaliłem papierosa i usiadłem w fotelu. W pokoju panował bałagan: z najróżniejszych kątów mieszkania trafiły na środek rzeczy, których świat nie widział od lat i miesięcy — wszystko po to, żeby znaleźć odpowiedni strój.

Naturalnie moment na odwiedziny nie był stosowny, zwłaszcza zaś Agnieszki nie pragnąłem widzieć.

— Ależ u ciebie bałagan... — powiedziała, rozglądając się dookoła. — Gorszy niż zwykle, Misiu.

— Nie jestem żaden Misiu! — ryknąłem, przerywając narzeczcie odrętwienie. — I nie piłem z panią brudzia! Proszę natychmiast oddać klucz! Pani już tu nie ma zacisznego

gniazdka, a ja wychodzę, i pani mi przeszkadza, i proszę stąd wreszcie wyjść!!!

Słuchała mnie z uśmiechem, kiwając do taktu głową. Usiadła przy biurku, na którym poniewierały się jakieś szkice. Przyjrzała się im z wyrozumiałością i podniosła na mnie spojrzenie spośród kruczoczarnych włosów.

— Założmy — powiedziała wolno, cicho, łagodnie, pieszczotliwie, tkliwie i cynicznie — założmy, że to jest prawda, co ty bredzisz, Misiu:

— Nie jestem żaden... — zacząłem ryczeć.

— Hm, wiem — zgodziła się chętnie. — Założmy, że w istocie nie piliśmy brudzia. — Tu otworzyła torebkę i postawiła na biurku butelkę wina. — Naturalnie — kontynuowała — jest to błąd do naprawienia.

— Nic nie jest już do naprawienia! — krzyknąłem, patrząc na nią z nienawiścią tym większą, że bardzo mi się podobała, prawdopodobnie bardziej niż kiedykolwiek, mój dobry Boże. — I ty jeszcze masz czelność do mnie przychodzić!!

— A co ja właściwie takiego zrobiłam...? — zamrugala powiekami jak niewiniątka. — Ja nic...

Teraz ja przerwałem jej wywód.

— Dziwko zatracona!! I ty śmiesz...? Boże! Ludzie...!

— Ja nic właściwie nie zrobiłam takiego — powiedziała z naciskiem. — Jesteś przewrażliwiony. Chcę się z tobą pogodzić, Misiu.

— Ale ja nie chcę! — zawołałem i zacząłem biegać po pokoju nerwowo. Ryczałem przy tym donośnym, tubalnym głosem, jak gdybym sam siebie chciał przekonać: — Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego!! Wynos się! Wszystko skończone!! Idź do diabła!!

Moje ryki trwały jakiś czas, nie wywołały jednak zamie-

rzonago efektu. A mimo wszystko nie mogłem zdobyć się na bardziej dosadne wyrażenie moich uczuć. Co tu dużo mówić — chyba nadal żywiłem do niej uczucie, które trudno byłoby zaklasyfikować, ale... Gdzieś na dnie ciągle jeszcze żarzyło się... A teraz... Była tak piękna!

A ona...? Rozsiadła się wygodniej i spoglądała na mnie z zaciekawieniem. W międzyczasie zdążyła otworzyć butelkę i wyciągnąć z szuflady kieliszki. Miałem trzy kieliszki, ale jeden stłukł się kilka dni wcześniej, co przypominałem sobie zupełnie automatycznie i bez związku.

— Nie masz za grosz honoru... — mruknąłem w końcu i opadły z sił osunąłem się na fotel. — Powinnaś obrazić się i wyjść stąd.

— Powinnaś... — zgodziła się chętnie. — Powinieneś to docenić.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale mruknięcie było niewyraźne i przypominało rzeźnię konającego. Machnąłem tylko ręką, a w tym czasie Agnieszka napełniła kieliszki i zbliżyła się z wdziękiem.

— Na zgodę, Misiu — powiedziała.

— Na imię mam Zbyszek — powiedziałem. — Cóż to za ciećz?

— Dobre wino, nie gap się, tylko pij — powiedziała dobrotnie i pogłaskała mnie po policzku. Przy tej czynności pochyliła się naturalnie do przodu, prezentując opalony dekolt i nie tylko. Widok ten sprawił, że zrobiło mi się gorąco. — Pij, pij — kusila, siadając mi na kolanach. — Musimy się pogodzić.

Wypiłem i spojrzałem na nią. W jej wzroku było coś triumfującego. Tak, to nie była radość — to był triumf kobiety, która jest pewna swej urody i przekonana, że posiada nad kimś władzę absolutną. Przysunęła twarz bliżej i z uśmiechem zbliżyła usta. Zatrzymałem ją ręką i odsu-

nałem powoli, ale zdecydowanie.

— Kogo chcesz ze mnie zrobić? — zapytałem.

Była zdumiona, ale wciąż jeszcze nie traciła nadziei, że wszystko ułoży się po jej myśli.

— Ja...? — szepnęła, uśmiechając się łagodnie. — Chcę, żeby było jak dawniej... Kocham cię!

Jakaś fałszywa nuta zabrzmiała w tym wyznaniu...? Długo i przeciągle patrzyłem jej w oczy, zanim odpowiedziałem:

— Oszalałaś, Agnieszka. Mnie?! Przecież ja nie mam brody!

Zdziwiło mnie, że nie zareagowała gwałtownie. Wyznania nigdy nie przychodziły jej z łatwością i musiałem je przyjmować w nabożnym skupieniu, z wielką powagą i bez cienia złośliwości.

— Nie dokuczaj mi... — szepnęła. — Zachowałam się wtedy jak idiotka! Wiem, ale to się więcej nie powtórzy. Tamten... nie ma znalezienia.

— Ale ja nie mam brody — powtórzyłem z maniackim uporem, akcentując każde słowo. — Nie można przecież kochać kogoś, kto nie ma brody! Można kochać wyłącznie kogoś, kto ma brodę!

— Ten bródacz, którego wtedy widziałeś... — zaczęła.

Nie, tych wspomnień było mi za wiele.

— Dość!! — zawolałem i zerwałem się z miejsca, nerwowo krząc pośród bałaganu. — Nic nie chcę na ten temat słyszeć. Śpieszę się na urodziny, więc idź już do diabła. I nie przychodź więcej. Skończyło się! I już. No, czemu jeszcze stoisz? Oddaj klucz i możesz iść. Kochałem przez dwa lata pewną Agnieszkę, ale ta była zdolna tylko do kłamstwa i spania ze mną. Skończyło się, słyszysz?!

Patrzyła na mnie bezradnie i z przerażeniem.

— Ja nie chciałam...

— A za co dostałem w pysk?! — wrzasnałem, machinalnie dotykając dłonią policzka. — Za to, że miałem rację?!

— Pozwól mi zostać...

— Tu nie ma dla ciebie miejsca! — krzychałem. Wszystko było paranoiczne jak scena z melodramatu. — Zre-sztą idę na urodziny.

— Do Stelli?

— Właśnie.

— Do tej... do tej... — jeszcze przez chwilę szukała określenia, ale wtedy wezbrała w niej złość. — Nigdzie nie pójdziesz!! Ze mną zostaniesz!! Nigdzie cię już nie wypuszę!! Nie wolno ci nigdzie cho-dzić!!

„Ach, tu cię boli” — pomyślałem z ponurą satysfakcją, po czym przystąpiłem do zakładania wciąż jeszcze wilgotnych butów. Spód oka zerkałem na nią z zadowoleniem. „Bardzo dobrze, jedź! Wy-równamy rachunki!”

— Zbyszk... Zbyszk! — ukleknęła przede mną i schwyliła za but, który właśnie zamierzałem wzuć. — Ja cię błagam...! Nie chodź do niej! Nie zostawiaj mnie! Kocham cię!

— Proszę oddać obuwie — wtrąciłem tonem nie znoś-cym sprzeciwu. Ponieważ nie reagowała, wyszarpnąłem but przemocą i najspokojniej w świecie przywdziałem.

— Spaleś z nią?!! Powiedz, Zbyszk!!

— Hm... — mruknąłem i spojrzałem na nią podejrzliwie. Pytanie było zaskakujące. — To już cię nie powinno obchodzić. Oddaj klucz!

Raptem złość minęła. Odwróciła głowę i wyszła z pokoju. Jej plecy drżały od przerywanego szlochu. Po chwili trzasnęły drzwi. Coś zakłuło mnie w okolicy serca — pobiegłem do przedpokoju, otworzyłem drzwi... i wróciłem. Zamazane w deszczu wspomnienie zatrzymało mnie w miejscu. Spojrzałem bezmyślnie na huśtający się na gwoździu klucz.

II.

Wychodząc z bramy na ulicę otworzyłem parasol i spojrzałem niechętnie na czerniejące przede mną kałuże: kończył się październik i od kilku dni oczekiwałem zmiany pogody. „Agnieszka, deszcz, Brodacz, Stella” — mruczałem pod nosem.

Ulicą przejechał ubłocony wartburg, rozbryzgując szaro-brunatne kałuże. Było już ciemno. Liście pokrywające chodnik zmieniły się w błotnistą maź, po której w strugach deszczu brnęli nieliczni przechodnie, skuleni z zimna pod parasolami.

Postawiłem kołnierz płaszcza i ruszyłem przez deszcz, ostrożnie omijając kałuże. Dał zimny wiatr, zacinając prosto w twarz kroplami mętnej wody. Było zimno i od kilku dni czułem wilgoć w butach. „Agnieszka...?” — pomyślałem. — Ona chyba już nie wróci”.

Zatrzymałem się na skrzyżowaniu. Gdzieś w oddali niknęły światła zabłąkanego samochodu, ulica tonęła w mrokim półcieniu. Była pusta.

Po chwili namysłu zeskończyłem z krawężnika na jezdnię i w strugach deszczu przebiegłem na drugą stronę ulicy. Czerwone oko sygnalizatora spoglądało na mnie z wyrzutem jak zmoknięty bocian. Pchnąłem drzwi kwiaciarni i wszedłem do środka, wycierając buty i wytrzepując wilgoć z parasola.

Wewnątrz było ciepło: w rozgrzanym powietrzu unosił się delikatny zapach kwiatów. Przy stoliku siedziała niemłoda, lecz elegancko ubrana madame. Przywitała mnie podejrzliwym spojrzeniem zza okularów.

— W taki deszcz...? — powiedziała chrapliwie. — Służę panu...?

— Tak, tak — powiedziałem, rozglądając się. — Zaraz coś wybiorę.

Kichnąłem, zasłaniając ręką usta, na co madame odłożyła gazetę i zdjęła okulary.

— Już się pan dorobił — stwierdziła, kiwając głową ze śmiertelną powagą.

— No nie — zaprzeczyłem i kichnąłem powtórnie. Wyciągnąłem z gliniaka anturium.

— Trzysta złotych — rzekła madame łagodnie.

— Ach, tak — mruknąłem, chwytając kwiat z powrotem.

— A to...?

— Ziemowit...?

— No właśnie, ziemowit.

— Sześćdziesiąt.

— Proszę, z przybraniem.

— Siedemdziesiąt dwa.

— Proszę.

Madame wprawnymi ruchami wiązała wstążki, płatała sreberko dokoła łodygi, spoglądając na mnie spod oka.

— Gdzież to się pan wybrał w taki deszcz, co? Na randkę!? A dziewczyna przyjdzie w taki deszcz...?

„A co to panią, madame, obchodzi...!? — pomyślałem i wzruszyłem ramionami.

— Taaaak... — mruknęła przeciągle, gdy nie odpowiadałem. — W taki deszcz zdarzają się różne historie. Proszę.

— Do widzenia.

Zamknąłem drzwi kwiaciarni i znów znalazłem się na pustej i mokrej ulicy. Chwilę mocowałem się z parasolem, który nie chciał otworzyć się nad moją głową. Koło mnie przemknęła dwójka roześmianych licealistów, taplając się bosymi stopami wśród kałuż. Najwyraźniej dopisywał im dobry humor...? „Dziwne” — pomyślałem.

Westchnąłem i przyspieszyłem kroku. Minałem przeczynię, potracając chwiejącego się na rogu, niezbyt trzeźwego mężczyznę. Czułem dziwny niepokój: gdy wreszcie skręciłem w Leśną — ruszyłem trucheikiem, przeskakując kałuże. Dochodziła ósma — zapewne zabawa trwała w najlepszym. „Pewnie Gucio zdążył się już schlać! Zresztą... co mnie obchodzi Gucio”. Chcia-

łem jak najprędzej zobaczyć Stellę, zresztą deszcz przybiegał na siłę: krople stały się grube i natęczyły. Płaszcz ociekał wodą, a z mojej miśternie układanej przed lustrem fryzury zostały żaloszne, mokre strąki.

Uśmiechnąłem się, słysząc przez ścianę deszczu ryczący magnetofon. Bliźniaczo podobne, betonowe budynki stały rozświetlone pośród przelewającego się wszędzie błota. Spojrzałem na trzecie piętro, w znajome okna. Drżały dyskotekowymi światłami, a przez ryk muzyki przebijał gwar rozochoconych głosów. W kuchni światło było zgaszzone, a okno szeroko otwarte.

— Hej, hej! — usłyszałem znajomy głos i teraz dopiero spostrzegłem Stellę. Siedziała na parapecie i machała ręką w moim kierunku. Koło niej chyba ktoś stał, ale z tej odległości i przez ścianę lejącej się z nieba wody nie mogłem zobaczyć tego na pewno.

— Ide, ide! — zawołałem. Na sercu zrobiło mi się ciepło, gdy patrzyłem na jej znajomą figurę. — Tylko mi nie wypadnij przez okno!!

Drogę zastąpił mi skulony cień. Jakiś stary, zmoknięty facet trzymał w ręku zmoczony papieros.

— Ognia pan nie masz...? — zakaszła.

— Tak. — Wyciągnąłem z kieszeni zapalnik, potarłem lebką o draskę. Błysnął niewyraźny, zamglony ogieniek.

...I teraz wszystko jak na zwolnionym filmie:

Przeraźliwy krzyk, rozpostarte w powietrzu ciało Stelli, mokry chodnik, jej jasne i długie włosy rozrzucone na nierówno ułożonych płytach... mała kałuża krwi.

Nagła cisza. Ludzkie gęby w oknach i deszcz, ten cholerny deszcz.

MAREK DUDZIŃSKI

Fragment większej całości

Stanisław Jedzok

Zwariowane lato

Do dziś nie ma pewności
czy to w ogóle było
lato

Kasandra meła
na swym jezorze
resztki szpiku

w tej ciszy szalała burza
w tym piekle trzeszczał mróz
deszcz judasz
podjudzał pragnienie

drzewa
rzeki
ziemia
wszystko było Twoim odbiciem

Sen I

(Ty i ja w krainie czarów)

Przetarliśmy oczy
a biały królik przetarłszy oczy
wymamrotał
O kurczę!
I pobiegł dalej

Nie mogłem w to uwierzyć
ale ty zaciekle przebierałaś nogami
i brzęczałaś
Mój kosmaty pająku!
włokąc mnie na smyczy
taka bezbronna

Absurdalna sprawa
Ale w końcu się wszystko
wyjaśnia
ja kołyszę się na swoich kolanach
a ty wspinając się spadasz coraz głębiej

Wyznanie miłości

(niemalże kryminalne)

Zabijasz mnie codziennie
podrzynasz moje gardło
i ręce

Zmęczenie spada
gęstymi kroplami
z ostrza

Bezwzględnie

Z premedytacją

Jestem coraz bardziej bezbronny
bez ciebie



Rys. Józef Drong

teatr

Dziwny ten „Rewizor” Augustyniaka

NIE jest łatwo wystawić sztukę, która została już zakwalifikowana „na wieki wieków” do klasyki oraz posiada swój kształt sceniczny wypracowany przez liczne wystawienia. Do takich właśnie sztuk należy „Rewizor” M. Gogola. Wszelkie więc próby wyłamania się z tej tradycji, schematów i rygorów są przejawem dużej odwagi reżysera jak też jego pomysłowości, a nawet powiedzieć można — konceptualizmu. Problem sprowadza się ostatecznie do tego, czy ta nowa propozycja wnosi coś nowego w odczytanie tekstu i wzbogaca sceniczną realizację o wartości dotąd niedostrzegalne; bo gdyby „konceptualizm” reżysera w jakimś stopniu zubażał tekst i poza formalnymi efektami nie wnosił nic twórczego do realizacji scenicznej — lepiej byłoby pozostać przy tradycji.

Myślę, że reżyser kieleckiej realizacji Gogolowskiego „Rewizora” spodziewał się pewnego „oporu” ze strony widza i dlatego w Programie umieścił interesującą „obronę” prawa do poszukiwań nowych rozwiązań. Autor (M.F. — Marta Fik?) przywołuje pewne precedensy, które mają usprawiedliwić niejako kieleckie przedstawienie: „A przecież próbowano różnych sposobów: od farsy przez obyczajową komedię z epoki, po ponadczasową groteskę czy sztukę metaforyczno-surrealistyczną

(Szajna), próbowano przełamywać realistyczne czy pseudorealistyczne konwencje, zmierzając w kierunku swoistej wizyjności (Jarocki)”.

Tylko że te wszystkie próby — jak zresztą lojalnie zaznaczono — nie zadowolili w pełni, nie znalazły uznania u krytyków, bowiem „farsa drażniła uproszczeniem, groteska rozbijała się o rzeczy serio, komedia obyczajowa zawężała problem do górkiego uprzedzieleń, lecz historycznego obrazka z życia carskiej Rosji, realizm kłócił się z nieprawdopodobieństwem, Szajnę oskarżano o ekstrawagancję lub odwrotnie, o inscenizacyjną tautologię, realizację Jarockiego, wykraczającą najsmielej poza tradycyjne interpretacje, uznano za pękniętą”.

Dlatego kieleckie przedstawienie wydaje się także dziwne i w efekcie wszystkich zabiegów reżysera, jego pomysłowości i wielkiej pracy — dziwne, przede wszystkim dlatego, że w stosunku do tekstu i zamiaru autora wniesione zostały „poprawki”, a przesunięcie realistycznej fabuły na płaszczyznę snu, odbiera tekstowi jego walory sceniczne: komizm i dowcip. Zauważyłem, że podczas premiery brakowało śmiechu, który — wydaje się — jest nieodłączny od Gogolowskiej twórczości.

Przygoda horodniczego tworzy niejako ramy całego przedstawienia, ale te ramy są dość sztuczne; bardzo efektowna jest scena rozsuwającej się ściany i widok zrealizowanych marzeń horodniczego — ranga generała i pełnia władzy. Jest to chyba jedyny fragment kolorowy, bowiem całość owego snu prowincjonalnego urzędnika utrzymana jest w tonacji szarej, monotonnej. Ową monotonię rozbija kolorowość postaci Chlestakowa, domniemanego rewizora. Teraz pytanie do reżysera: czy sen musi być szary-bury, jednolity, zwolniony, rozwlekły, nużący? Nawet jeśli przyjmemy konwencję znaków i symboli — to przecież świat przedstawiony w Gogolowskiej sztuce przeczy takiemu widzeniu. Jeśli zresztą już mowa o symbolicznych gestach, znaków, rzeczy, to wydaje się, że niektóre z nich reżyser potraktował zbyt dosłownie ocierając się niemal o wulgaryzm (całowanie domniemanego reprezentanta władzy w zadek). Nawet

przyprawienie niektórych scen erotyką pochodzenia freudowskiego (tarcie biustem o mundur Chlestakowa) jest dużym uproszczeniem w stosunku do tej sceny w tekście.

Próbowałem usprawiedliwić takie rozwiązania reżyserskie chęcią odejścia od realiów i konkretnych życia społecznego dziewiętnastowiecznej, a ściślej Mikołajowskiej Rosji ku pewnemu uogólnieniu, do czego zresztą nie brak przesłanek. Rozgałęzioną i ogromnie skorumpowaną, biurokracją miała dwojaki charakter; była podporą władzy absolutystycznej i wielką chorobą carskiej Rosji. Pokazano został w komedii Gogola człowiek uwikłany w te wszystkie sieci intryg, machlojek, lokalnych kłopotów, które uznał za stan faktyczny. Resztki sumienia dają znać o sobie wtedy, gdy w ten uformowany amoralnie świat wkracza element obcy — wyższa władza, kontrolująca funkcjonowanie aparatu administracyjnego. Wtedy człowiek pokazuje swój świński ryj (myślę, że ta scena utrzymana w stylu groteski jest znakomita, chociaż jej wymowa nader pesymistyczna); nie tylko Artiemij Filipowicz jest „świnia w jarmulce”, lecz wszyscy są jednokowi: „Nic przed sobą nie widzę: widzę jakieś świńskie ryje zamiast twarzy i nie więcej”. To przykre doświadczenie horodniczego jest okrutnym oskarżeniem społeczeństwa bez twarzy, w masce na okoliczność. To już jednak moralistyka daleko idąca.

Jeśli więc reżyser zamierzał pójść po linii tej daleko idącej moralistyki ku wielkiemu filozoficznemu uogólnieniu, że to skażenie człowieka jest ponadczasowe i ujawnia się zawsze na styku rzeczywistości władzy o znamionach i atrybutach dyktatorsko-absolutystycznych z rzeczywistością jednostki ludzkiej, gotów jestem zaaprobować koncepcję inscenizacyjną i interpretacyjną sztuki Gogola. Wtedy zinstrumentalizowanie snu jest oczywiste, służy jako forma umowna, pozwalająca odrealnić świat przedstawiony po to, aby go uniwersalizować.

Bogdan Augustyniak ujawnił swoją przekorę, swoją wykrzywioną, ironicznie twarz, zaciera-

jąc jednocześnie ręce, że zakpił z widza, może i trochę z autora, „przerabiając go na szaro”; zakpił jednak z solennej, nadętej, sztucznie dostojnej rzeczywistości, która tak natęczywie domaga się szacunku, uznania, aprobaty. Sam horodniczy w tych układach staje się znakiem i symbolem tej rzeczywistości; zwłaszcza kiedy oburzony woła: „Po całym świecie rozniesie tę historię. Mado że się człowiek stanie pośmiewiskiem, znajdzie się jakiś gryzmola, gryziptórek i do komedii cie ustawim... To najwięcej boli! Nie uszanuje stanowiska, ani rangi — wszyscy będą zęby szczerzyć i kłuskać w dłoń! Z czego się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie!” A przecież „prawdziwa cnota krytyk się nie boi”. Prawdziwy horodniczy, postrach kupców i urzędników miejscowych, którzy razem z nim popelniają różne, mniejsze i większe swinstwka, pokazał się w rozpaczliwym monologu: „Jak ja? — nie... Jak ja, stary bałwan!... ja, głupi baran, jak straciłem głowę? Trzydzieści lat służę — ani jeden kupiec, ani jeden dostawca nie nabił mnie w butelkę! Złodziei nad złodziejami nabierałem! Rzeźmieszków i kombinatorów takich, co cały świat by naciągnęli, ja sam naciągałem! Trzech gubernatorów nawiąłem!” — oto prowincjonalny samodzierżca.

Tak więc pomyśl można przyjąć pod warunkiem, że czemuś służy, ale realizacja pomysłu nie wypadła rewelacyjnie, przedstawienie nie jest jednolite, a tekst — jak już wspomniałem — utracił wiele ze swej błyskotliwości. Zamazały się też charakterystyki postaci, w komedii doskonale zarysowane; w przedstawieniu utraciły tę wyrazistość. Horodniczy, w wykonaniu Edwarda Kusztala, poza „rysami twarzy pospolitymi i szorstkimi” utracił nawet „ordynarne skłonności duszy”; jego żona (Ewa Józefczyk) bardziej przypomina balladową nimfę niż „prowincjonalną kokietkę (...) wychowaną na modnych romansach i albumach”, polującą na przygody erotyczne; może najtrafniejszy jest Chlestakow „z lekka głupawy i jak to się mówi, bez piałej klepki w głowie”, chociaż wydaje się, że działa z rozmysłem, że szybko rozszyfrował powstałą sytuację i przeczuł

szansę odegrania się na naiwnych. Sławomir Holland pozuje trochę na Napoleona, co jeszcze pogłębia jego wewnętrzną pustkę.

Najlepiej wypadły sceny zbiorowe (np. maski świńskie) w finałowych partiach przedstawienia. Tutaj widać pracę reżysera i pracę zespołu, chociaż nie wyszedł ponad przeciętność. Tak zawsze grają, bo na tyle ich stać?

Wszystko więc wskazuje na to, że w Kielcach powstało interesujące przedstawienie tak ogranej i wyeksploatowanej sztuki, jaką jest „Rewizor” Gogola. Reżyser ma prawo do poszukiwań i nowych rozwiązań inscenizacyjnych, ale dobrze jest również, kiedy z tych nowych rozwiązań powstaje rzecz tak frapująca, „jakby kto zatumaniał zamroczył, jakby bies poplątał” — jak mówi kurator instytucji dobroczynnych. Nic z tych fascynacji na kieleckiej scenie. Nie zamroczony i nie zatumaniony po spektaklu myślę, że jest to mimo wszystkich wątpliwości, przedstawienie ciekawe.

Kwadratura koła

W BREW niedowiarkom, którzy zakładali, że Teatr Amatorski przy WDK w Radomiu da pierwszą premierę i zaraz po tym wysiłku przestanie istnieć — jest premiera druga. Po „Naręczonych” Korzeniowskiego — „Kwadratura koła” Walentina Katajewa, żart sceniczny w 3 aktach. Zabawna opowieść o dwu młodych parach małżeńskich, które los zmusił do wspólnego mieszkania w jednym pokoju. Przed ożenkami obu przyjaciółom, Wasce i Piotrowi, wystarczyły sprzety ograniczone do minimum i nie przeszkadzały brak podziału: to moje, to twoje. Z chwilą gdy pojawiły się małżonki, musiał też pojawić się parawan. „Tak wygląda próba wprowadzenia socjalizmu w jednym pokoju: w ciągu pięciu minut z jednego są dwa” — komentuje jeden z bohaterów. Ludoczka, żona Waśki, „bezpартyjna towarzyszka”, wnosi w posagu cały arsenał „burżuazyjnych przesądów” z firankami włącznie, a jeszcze na dodatek portret babuni — wzorowej gospodini i portret dziadunia

STANISŁAW ZAK



„Rewizor” — scena zbiorowa

Fot. JERZY MAKOWSKI

— „weterana pracy z awansu społecznego”. Wszystko to razem dość szybko wyprowadza z równowagi świeżo upieczonego małżonka, który dochodzi do wniosku, że coraz bardziej wsiąka w drobnomieszczańskie biotko i ma dość. Nie bardzo też zaczyna widzieć wspólną przyszłość — choć z innych powodów — druga para, Piotr i Tonia, do której mąż zwraca się przeważnie per „Kuzniecowa”. Niby wszystko w porządku: zgodność charakterów — jest, wzajemne zrozumienie — jest, świadomość klasowa — jest, kontakt proletariacki — jest, wspólna platforma ideowa — jest... A żyć razem nie sposób.

Dalszy ciąg latwy do przewidzenia. Miłość do cudzych partnerów rozkwita silnie, choć w ukryciu. No bo: „Co powiedzą towarzysze z Rejkomu? Co powie towarzysze Flawiusz?” Towarzysz Flawiusz, na szczęście, stwierdza ze stoickim spokojem: „*Revolucja na tym nie ucierpi*”, co pary uznają za błogosławieństwo na nową drogę życia i wszyscy są zadowoleni, łącznie z szalonym poetą, Jemielianem Czarnoziemnym, który już wcześniej tajemniczo skrywanych uczuć rozszyfrował.

Prowadzeni wytrawną reżyserką ręką Jerzego Wasiuczyńskiego aktorzy-amatorzy uczniowie szkół średnich, zdali na płatkę egzamin przed premierową publicznością. Zwłaszcza odtwórcy głównych ról. A spektakl trwa, z przerwami, dwie i pół godziny, nie był to więc egzamin łatwy dla nieprofesjonalistów. W przedstawieniu biorą udział jako Waśka — Sławomir Felerowicz, jedyny spoza Radomia, uczeń LO w Białobrzegach, jako Ludmiła — wymiennie: Iwona Frączek i Elwira Prokop (w premierowym spektaklu grała Elwira), jako Tonia — wymiennie: Agata Bilska i Anna Landa (w premierowym spektaklu grała Anna), jako Piotr — Ireneusz Rosiński, Jemielian — Paweł Nowak, Flawiusz — Przemysław Frączek.

W wydanej na okoliczność premiery ulotce Janusz Pulnar kreśli krótką notę biograficzną autora „Kwadraty kota” (bardziej znanego jako autora klasycznej już dziś powieści dla dzieci i młodzieży „Samotny biały żagiel”) i przypomina, że sztuka ta trafiła 12 sierpnia 1928 roku na scenę sławnego MChAT. Krytycy tamtych lat surowo ocenili „Kwadraturę kota”, ale potem, gdy wycofiszy się namietności, uznano premierę tego „żartu scenicznego” za wydarzenie znaczące nawet dla samego MChAT.

Aż dopiero mówić o amator-
skiej scenie WDK?

(jut)

„Kwadratura kota”, żart sceniczny w 3 aktach Walentina Katajewa. Teatr Amatorski przy Wojewódzkim Domu Kultury w Radomiu. Reżyser — Jerzy Wasiuczyński, scenograf — Karol Jabłoński, inspicjent — Agnieszka Kucharska.

fotografika

Szerokim kątem

NOWA indywidualna wystawę „Krajobrazy z przednim planem” przedstawił w Galerii Fotografiki w Kielcach Paweł Pierściński. Ekspozycja przy-



nosi Pierścińskiego, jakiego nie znamy, odmienionego, choć dla obserwatora rozwoju drogi twórczej tego znakomitego artysty nie stanowi całkowitego zaskoczenia. Pierściński tę wystawę jakby w ostatnich latach zapowiadał; na kilku prezentacjach zbiorowych pokazał bowiem zdjęcia znamionujące nowe spojrzenie na krajobraz: powoli jakby odstępował od kanonu Kieleckiej Szkoły Krajobrazu, jej „zgeometryzowanej” optyki i estetyki, i poszukiwał innych doświadczeń. Oglądaliśmy zdjęcia wykonane obiektywem szerokokątnym, diametralnie odmieniające widzenie pejzażu w stosunku do założeń KSK. W tej drugiej — żadnych przedplanów, planów pierwszych, a kadrowanie odległych struktur. Inny obiektyw to nie tylko czysto techniczne inne możliwości, to zarazem jakby nowa filozofia odbioru otoczenia. Jest w niej i przekształcenie i deformacja, i realistyczna wierność, co może wzajem się wyklucza, ale jest prawda. Zestaw takich fotografii wykonanych obiektywem ultraszerokokątnym oglądamy na tej wystawie. Zdjęcia te charakteryzują się swoją dynamiką, przy tym są bardzo „malarzkie”, a choć eksponują detal, choć na pierwszym planie stawiają jakiś szczegół, ich warstwa informacyjna nie jest uboga a wręcz przeciwnie — dobrze wprowadza w istotę i klimat pejzażu. Świetnie sprawdza się na tych zdjęciach zasada *pars pro toto*.

To była setna wystawa w istniejącej od września 1977 r. Galerii Fotografiki Okręgu Świętokrzyskiego ZPAF. Podziwu godna regularność: co miesiąc zmiana ekspozycji. Życzymy Galerii jeszcze wielu setek wystaw ale oby już jak najmniej w obecnym, nader skromnym „salonie”, z którego wyprowadzić się pragnie, nie może, a powinna...

□

książki

Świat
spod powiek

WTWÓRCZOŚCI Kazimierza Kowalskiego (powieściopisarza, nowelisty, dramaturga radiowego i scenicznego oraz publicysty) „Ucieczka na taki zielony” zajmuje miejsce szczególne. Jest to bowiem książka najbardziej osobista, w całości bodaj autobiograficzna. Każde opowiadanie osnute jest na autentycznych zdarzeniach (może z wyjątkiem — wypadła się zastrzec — historii z Zuzanną?). Domniemanie, jak zawsze w takich przypadkach, cokolwiek ryzykowne, pozwalam sobie jednak na nie mając w pamięci to, co pisarz ze swego życiorysu dotąd odsłonił, m.in. w rozmowie ze mną opublikowanej na tych łamach w październiku 1979 r., a więc akurat w tym roku, kiedy przystąpił do pracy nad „Ucieczką”. Oto fragment jego wyznania: „Urodziłem się na Pomorzu (1926 r. w Chelmnie — S.N.). Jednak całe dzieciństwo, wszystkie wakacje spędzałem tutaj w Bogucicach koło Pińczowa. Ojciec różnymi sposobami uczył kochania tej wsi, jej przeszłości, tradycji. I tu, na tym zakątku, jest mój prawdziwy dom”. Przypominam ten fragment, gdyż właśnie podpińczowskim stronom poświęcił K. Kowalski w „Ucieczce” najwięcej miejsca, więcej jeszcze niż w noweli „Uporządkowanie spraw” ze zbioru „Upieranie się przy nadziei” (1965) czy powieściach „Partyzant nie składa broni” (1964, 1969), „Zdrada” (1967), „Przygody dawnego partyzanta” (1969), „Strip-tease bez uciechy” (1977), „Serca nasze obie 1777” (1978).

Autobiografizm wymaga wiarygodności, szczerości. Niełatwo się zdobyć na taką demaskację. Kultura wmontowała w nas bardzo sprawnie działające hamulce powściągliwości, zatajania, dyskrekcji. Prawdomówność, weredyzm gotowi jesteśmy brać za ekshibicjonizm, a gdy zamieszani są w to inni, niedawno zmarli, bądź żyjący współbohaterowie zdarzeń —

za skandal... Z drugiej strony czytelnicy mimo tej głęboko zakorzenionej świadomości w odniesieniu do samych siebie i kręgu osób najbliższych wprost polują na autentyki i posmakują sensacji; kiedy rewelacji nie dostają manifestują rozczarowanie. Jak pogodzić tę sprzeczność? K. Kowalski znalazł sposób. Wybrał ze wspomnień te momenty, które do tej pory nurtują go niedorysowaniem, tajemniczością. Próbuje rozwikłać zagadki z życia matki, ojca, krewnych z licznej rodziny, rozszyfrować ich osobowości, sposoby myślenia, charaktery — tak często sobie przeciwstawne. Frapują go te postaci, co naturalne, zrozumiałe, bo przecież pod ich wpływem wyrastał, kształtował swój stosunek do świata.

Inny ciekawy rozdział wspomnień to zdarzenia z lat wojny, okupacji, walk w partyzanckich oddziałach Batalionów Chłopskich. Łamanie zakazów wroga (gromadzenia się, nauki, wychodzenia podczas godzin policyjnych) i występowanie przeciw niemu, co było patriotyczno-moralnym imperatywem groziło na każdym kroku surowymi represjami, śmiercią. A trzeba było kształtować się na tajnych kompletach, uczyć się jednocześnie twardych reguł bezkompromisowej walki o przetrwanie, ocalenie fizyczne siebie i współtowarzyszy, własnych rodzin i urodzonego narodu. Wrażliwość kilkunastoletniego chłopca wystawioną została na próbę okrucieństwa. Pierwszego strzału do wroga (w końcu drugiego człowieka), na jaki musiał się zaprzysiężony partyzant zdobyć, nie sposób w niczym porównać do innych inicjacji: pierwszej miłości, sercowej zdrady, jakże sentymentalnych. Należało zabić policjanta i soltyśa-denuncjatora, by ocalić dwudziestu ośmiu z konspiracji. „(...) przycisnąłem kolbę stena do ramienia, wymierzylem prosto w kark siedzącego przede mną żandarma. Stachu trzymał na muszce tego drugiego. Umówiliśmy się przedtem, że ja zacznę. No więc zerknął na mnie, dladzego nie zaczynam. A ja w tym ułamku sekundy przeżyłem wszystko: strach, ośupienie, nagłą obojętność i uświadomilem sobie, że ten człowiek przede mną, choć wając do kieszeni kartkę z nazwiskami ludzi, za chwilę przestanie żyć. Ode mnie zależy jego życie. Zginałem palec na spuszcze, zatrzymałem, niech on jeszcze chwilę żyje. Poczulem się jak Bóg który życie daje i życie odbiera. Opuścił mnie nagle cały strach. Zniecierpliwiony Stachu potrącił mnie łokciem i wtedy zginałem palec do końca. Długa seria moja, natychmiastowa seria Stacha. (...) Przestałem rozumieć, co on czyta (kartkę z wyrokiem Polski Podziemnej — S.N.), patrzyłem na twarz martwego Niemca, zalaną krwią, na leżącego obok w kątach krwi soltyśa i naraz poczułem, że się duszę. Zapalka przypaliła mi palec, zacząłem wymiotować.

«Gówniarz, a nie Bóg» — wołałem — «nędzny dupak, a nie Bóg!» (...) W taki sposób stałem się dojrzałym człowiekiem” (s. 153—159).

Ale nie brak opowiadaniom K. Kowalskiego i wspomnieniowego sentymentalizmu. Ta emocjonalna tonacja, rzekłbym, nawet dominuje. Splata się z retrospektywną refleksją, opisami bujnej nadnadrzaniejskiej przyrody, lasów, tytułowych łąk. Tonacja owa przydaje subtelności uroku intymności — bywa, odważnej, zaczepnej, wciągającej wybrednego tropiciela autentyków. □

STANISŁAW NYCZAJ

KAZIMIERZ KOWALSKI: „Ucieczka na taki zielony”. Katowice 1985. Wyd. „Śląsk”, s. 213+3 nlb.

Teka
Zamojskiego

KAŻDY, albo prawie każdy, ma swoją małą ojczyznę-ojcowiznę w której mu najlepiej się żyje, o której najczęściej myśli i wspomina, jeżeli zaś to człek tworzący, czyli artysta — najwięcej i najchętniej o niej i dla niej tworzy.

Ryszard Zamojski robi i jedno, i drugie, i trzecie.

Sandomierzanin z urodzenia — mieszka prawie w swoich rodzinnych stronach, lubi opowiadać o nich z zachwytem, często poświęca im wiersze, a także od czasu do czasu rysuje i maluje ten swój bliski świat, jak wynika to choćby z wydanej w zeszłym roku teki jego wierszy rysunków i grafik, zatytułowanych po prostu „Wszystko tu dla mnie bliskie...” *) i poprzedzonych króciutką przedmową Juliusza Wendladta, omawiającą głównie jej plastyczną, graficzną stronę, od której więc oceny czujemy się niejako zwolnieni. A chociaż nie wszystkie rysunki utopione przez drukarnię we wściekłe żółtym sosie przypadły nam swa nadmierną poprawnością i akuratnością do gustu — wyjąwszy może starą wieś sandomierską z siodłnej strony i staszowski zabytkowy z dziewiętnastej strony ratusz — wolimy się zająć zamieszczonymi tu, bardzo czasem nastrojowymi, choć bywa, że i także w pewnym sensie ilustracyjnymi, poetyckimi tekstami. Tekstami, z których najbardziej odpowiadający sytuacji o jakiej mowa na początku, jest przed-

ostatni wiersz tej teki pt. „Wracam”.

Mowa tu o kwietniowych (czyżby to były imieninowe wyprawy?) powrotach poety do rodzinnego Sandomierza, na swoją dawną ulicę, gdzie — niestety — nie ma już jego rodzinnego, „dopadniętego” przez spychacze domu, ze świadomością, że

... każdego roku więcej powrotów
mi trzeba —
na odległość, słowa
igielnego ucha
dalekiego nieba.

Tym więcej, że śni mu się często
ulica jego dzieciństwa

... z dziewczyną w oknie tamtym
przez słoneczne dalekie plany
coraz mocniej i mocniej słyszę
jak w wyciętym ogrodzie
spadają jabłka dzikie.

Śni mu się wszystko co odeszło,
a przecież ciągle pozostaje jego,
poety rodzinną ziemią, na której
„wszędzie jest i nigdzie go nie ma”,
czy to będą zwietrzałe skały
Gór Pieprzowych czy też wąwóz
nad Wisłą w wierszu „Jakże
jesteśmy bogaci”.

Podajmy się, może faktycznie
prezentowane w tej tece rysunki,
grafika, malarstwo i wiersze Ryszarda Zamojskiego tworzą — jak
chce autor wstępu — harmonijną
całość?

RYSZARD ZAMOJSKI: „Wszystko
tu dla mnie bliskie”. Rysunek, gra-
fika, poezja z lat 1967—1969. Rzeszów
1985. Krajowa Agencja Wydawnicza.

Udane formy

PRAWIE niezauważenie uka-
zujący się w Radomiu infor-
mator kulturalny przekształ-
cił się w interesujący pod wzglę-
dem treściowym i graficznym ma-
gazyń „Kontakt”. Od pewnego
czasu zamiast kącika literackiego,
w którym debiutowało wielu już
znanych poetów (Władysław Koba,
Teresa Opoka, Alina Pietraszew-
ska), zaczęły pojawiać się odrębne
zeszyty poetyckie biblioteczki poe-
tyckiej „Kontaktu” — „Małe For-
my”. Dotarli do mnie 3, 4 i 5 eg-
zemplarze tego wydawnictwa au-
torstwa Barbary Gajewskiej, Bo-
lesława Michała Soczyńskiego i Ja-
na Tomasza Oko.

B. Gajewska publikuje swoje
utwory od lat i wybór jej wierszy
powinien już — moim zda-
niem — ukazać się w wydawni-
ctwie profesjonalnym. „Anamne-
za”, czyli wywiad z chorym, jest
adekwatnym tytułem dla treści
zawartych w zeszycie. Gajewska
z pasją tropi odmienność ludzi
nadwrażliwych, ich zagubienie w
świecie, okrutne odrzucenie. Proza
poetycka „Maria” wydaje się być
zapowiedzią większej całości. Jak
na poezję jest przegadana, zbyt
spłataną, autorka nie może się zde-
cydować, jaki gatunek literacki
wybiera. Ja doskonale rozumiem
intencję autorki: przedsta-
wienie sposobu myślenia osoby
niezrównoważonej psychicznie, ale
nie wolno zapominać, co jest psy-
chiatrą, a co literaturą.

O wierszach Bolesława Michała
Soczyńskiego zatytułowanych „Zró-
delko o czystej wodzie” trudno po-
wiedzieć cokolwiek ziego lub do-
brego. Wiersze są nijakie i bezbar-
wne, choć na pewno nie jest to
grafomania. Czasami wydaje się,
że zostały wyjęte ze szkolnej czy-
tanki. Ich patriotyzm, choć nie-
wątpliwie szczery, jest banalny i
nadmierne traci dydaktyzm. Aż
trudno uwierzyć, że autor o tak
bogatym życiorysie, były łącznik
konspiracyjny w czasie wojny, nie
wyszukuje swoich przeżyć w twó-
rczości. Gorąco namawiam do pisa-
nia wspomnień!

Najbardziej obiecujące są wiersze
Jana Tomasza Oko, urzekające
swoją bezpretensjonalnością,
prostotą wyrazu, brakiem lirycz-
nego zadęcia... Mimo dość młodego
wieku autor posiadał w dużym
stopniu tzw. warsztatową spraw-
ność. Jest to autentyczny talent,
który — mam nadzieję — będzie
się pomyślnie rozwijał. Poezja Ja-
na Tomasza Oko, mówiąca często
o umieraniu, o rzeczach ostatecz-
nych jest zaskakująco spokojna.
Nie ma w niej krzyku, ani jakieg-
kolwiek hysterii. W tym sensie jest
to poezja bardzo męska, stoicka,
mimo wszelkich delikatności i ar-
tystycznych środków.

Wszystkie zeszyty zostały wyda-
ne bardzo starannie, niemalże wy-
pieszczone, na doskonałym papi-
rze. Świetne, ciekawe oko grafiki
korespondują z tekstami, a czasem
przewyższają je artystyczną war-
tością. Trzeba więc oddać szacunek
Andrzejowi Minajewowi i
Mirosławowi Siarze — autorom
opracowania graficznego.

ZDZISŁAW ANTOLSKI

BARBARA GAJEWSKA — „Ana-
mneza”; **BOLESŁAW MICHAŁ SO-
CZYŃSKI** — „Zródelko o czystej wo-
dzie”; **JAN TOMASZ OKO** — „Poe-
zje”. Wydawca: Wojewódzki Dom
Kultury przy współdziałaniu Wydziału
Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódz-
kiego w Radomiu.

Z regionalnej witriny

● „Rocznik Muzeum Narodo-
wego w Kielcach”. Tom 14. Kra-
ków — Wrocław 1985. Muzeum
Narodowe w Kielcach, Wydawa-
nictwo Literackie, s. 408, ilu-
stracje, cena 450 zł.

Muzeum Narodowe wzbogaciło
nasze biblioteki o kolejny tom
swego — będącego już takim tyl-
ko z nazwy — „Rocznika”. Kłopoty
poligraficzne dosięgły i tę
szacowną instytucję, wydłużając
ponad miarę cykl produkcyjny tego
wartościowego, ukazującego się
od dwudziestu trzech lat muzeal-
nego i regionalnego zarazem cy-
klicznego wydawnictwa, tak że za-
miast dwudziestego trzeciego do-
ciera do nas zaledwie jego tom
czternasty. Ale i za to niech będą
dzięki...

Przedstawiany tu tom, podobnie
jak wolumenty z lat poprzednich,
składa się głównie z artykułów
omawiających kieleckie muzealne
zbiory, obiekty i budowle, jak
również prace badawcze pracow-
ników naukowych Muzeum. W dzie-
dzinie pierwszej prym wiedezi Janu-
sz Kuczyński zamieszczający tu
oprócz współautorskiego z Lesz-
kiem Kajzerem tekstu o średnio-
wiecznym zamku rycerskim w
Rembowie, aż trzy artykuły, w
których opisuje dzieje siedziby
starosty oraz stajni i wozowni
przy pałacu biskupim w Kielcach
od XVII do XX wieku, XVIII-
wieczne boczne skrzydła tegoż pa-
łacu oraz niezwykle ciekawy, naj-
starszy ze znanych panoramicznych
widoków Kielc, pochodzący także
zresztą z drugiej połowy XVIII
wieku. Owa — jak to z zamiło-
waniem do różnych takich facho-
wych i mniej potocznie znanych
określeń mówi J. Kuczyński —
weduta, jest wykonanym tuszem
ławowanym rysunkiem, przedsta-
wiającym nie bez deformacji, błę-
dów i uproszczeń „zespół budyn-
ków kieleckiego ośrodka biskupie-
go wraz z otaczającą, a funkcyj-
nie mu podporządkowaną za-
budową, widzianą ze szczytowych
partii północnego stołu oddalonej
o około kilometr góry Kadzielną”,
na którym dodatkowo umieszczono
i opisano w legendzie szesna-
ście osób dobranych „jakby celem
ukazania przekroju ówczesnej spo-
łeczności Kielc”.

Ciekawie o tych postaciach i sa-
mej weducie, bardzo ciekawie Janu-
sz Kuczyński opowiada, szkoda
tylko, że nie otrzymaliśmy równo-
cześnie odpowiednio czytelnej po-
wiedźmy wprost: rozmiarami

większej reprodukcji omawianego rysunku. Może kiedyś...

A skoro już o rysunkach i sztuce mowa, odnotujmy, że w „Roczniku” znalazły się omówienia (i reprodukcje) malarstwa i grafiki w zbiorach Muzeum Okręgowego w Sandomierzu (Elżbieta Jezewska), starych i nowych fotografii (Maciej Janik) oraz orderów, medali, odznak i wojskowych znaków rozpoznawczych znajdujących się w muzeach województwa kieleckiego (Krzysztof Urbanski).

Ciekawe wiadomości o czytelnictwie, poziomie wykształcenia i stosunku chłopów polskich pod koniec XIX wieku do twórczości Henryka Sienkiewicza, znajdujemy w artykule Lidii Putowskiej pt. „Płon niesiemy, płon! — listy chłopów do redakcji „Zorzy” ofiarowane Henrykowi Sienkiewiczowi z okazji jego jubileuszu”.

Oddzielnie trzeba by pisać o rzadko raczej badanym budownictwie folwarcznym w Kielecczyźnie, oddzielnie o badaniach geologicznych państwa Fijałkowskich i zamieszczonych na ten temat artykułach. Nie podejmując się szczegółowego omawiania zawartości „Rocznika”, trzeba przecież na koniec przedstawić jeszcze jeden, bardzo z wielu względów ważny i poniekąd pionierski artykuł Barbary Erber pod przydługim nieco tytułem „Oleodruki i inne przedstawienia kultowe jako źródła inspiracji w plastyce ludowej Kielecczyzny”, który tu opublikowano niejako w zastępstwie katalogu naukowego wystawy „Wzory sztuki ludowej” zorganizowanej swego czasu na jubileusz 75-lecia Muzeum Świętokrzyskiego.

Wystawiono wówczas „sto pięćdziesiąt prac artystów ludowych kilku generacji działających w ostatnich półwieczu w Kielecczyźnie, głównie rzeźbiarzy twórczych w drzewie oraz kamieniu i glinie, jak również malarzy”, przydając ich pracom dla porównania, czterdziestu będących dla tej twórczości wzorami pozycji, głównie oleodrukowych obrazów dewocyjnych, figurek i malarstwa kościelnego. Opierając się na tamtym wystawowym materiale i posługując zamieszczonymi w „Roczniku” reprodukcjami dzieł twórców ludowych i wykorzystywanych przez nich jako podnieta lub zgoła wzor oleodrukami, Barbara Erberowa analizuje te podniety, często uciekające się do bezpośrednich na ten temat wypowiedzi autorów, które „mają istotne znaczenie, gdyż oprócz zawartej w nich warstwy informacyjnej, poprzez z gruntu własną formę wyrażenia zbliżają do sposobów myślenia artystów ludowych, najpełniej odzwierciedlając ich mentalność”. Dodajmy, że autorka omawia twórczość wielu bardziej lub mniej znanych twórców ludowych, między innymi Marii Wiśnias, Józefa Pilata, Mariana Radka, Stanisława Żaka i Franciszka.

● „Biuletyn Kwartalny Radomskiego Towarzystwa Naukowego”, Tom XXI, zeszyt 1—2, Radom 1984, s. 103, cena 80 zł.

Nowy (wbrew datowaniu) Biuletyn Kwartalny Radomskiego Towarzystwa Naukowego zawiera wiele interesujących materiałów, choć akurat otwierający wydawnictwo artykuł Jana Tomickiego „Polska Partia Socjalistyczna i jej ludzie (1892—1948)” nie jest tego najlepszym przykładem. Z pewnością nie było łatwo przedstawić w krótkim zarysie liczącą ponad pół wieku historię PPS „bogata i skomplikowana tak jak skomplikowane są najnowsze dzieje naszego narodu”. Krótki zarys stwarza niebezpieczeństwo nie zawsze szczęśliwej selekcji faktów, a także pewnych, siłą rzeczy, uproszczeń. Nie uniknął tych zasadzek Jan Tomicki, którego artykuł przypomina rozdział z podręcznika historii dla szkół ponadpodstawowych. I forma, i treść. I brakiem jakichkolwiek przypisów, bibliografii, literatury.

O „Szkołnictwie ewangelickim w dawnym powiecie radomskim w pierwszej połowie XIX wieku” pisze Wiesław Caban. Rozproszenie lub brak materiałów archiwalnych (zwłaszcza dotyczących szkół poza miastami) utrudniały prowadzenie badań, stąd zapewne badacze dziejów oświaty początkowej w Królestwie Polskim w I połowie XIX wieku nie pokusili się o szersze opracowanie tego tematu, zdając sobie jednocześnie sprawę z jego wagi. Wiesław Caban starał się — jak sam stwierdza — na podstawie resztek zachowanych akt w Radomskiej Dyrekcji Szkolnej oraz w Aktach m. Radomia scharakteryzować politykę naczelnych władz oświatowych i administracji wojewódzkiej (gubernialnej) wobec tego typu szkolnictwa początkowego oraz przedstawić warunki pracy tych szkół wraz z krótkim omówieniem programów nauczania. Praca Wiesława Cabana ma charakter przyczynkarski i nieumniejsza jej wartości fakt, że dotyczy jedynie byłego powiatu radomskiego.

„System oddziaływania na rozwój rolnictwa indywidualnego w gminie” przedstawia Jan Piwowar, przypominając na wstępie, że tradycje gminy jako jednostki podziału terytorialnego sięgają w Polsce XII wieku. Gminy istniały w naszym kraju w okresie międzywojennym i w kilka lat po wojnie a w obecnym kształcie funkcjonują — jak powszechnie wiadomo — od czasu reform administracji terytorialnej przeprowadzonych w latach 1973—1975. „Reforma, wpisując ponownie te jednostki na mapę administracyjną kraju, zakładała, że staną się również ośrodkami organizacji i kierowania rozwojem rolnictwa” — stwierdza autor, po czym dodaje, iż „ustawodawca od początku nie uwzględnił w pełni ograniczeń

trudności wiążących się z wypełnianiem takich obowiązków”. Owe trudności i ograniczenia zostały potwierdzone m.in. przez wyniki badań z roku 1981, których celem była analiza sposobów oddziaływania na rolnictwo indywidualne w gminach województwa radomskiego.

Nie mało trudu zadał sobie Kazimierz Warda; by dotrzeć do jakichkolwiek materiałów archiwalnych, dotyczących dziejów Towarzystwa Naukowego przy Szkole Wojewódzkiej o.o. Pijarów w Radomiu Kwerenda źródłowa dała wynik negatywny. Na szczęście w zbiorach Biblioteki Seminarium Duchownego w Sandomierzu zachował się niewielkich rozmiarów zeszyt, jak się okazało — protokolarz Towarzystwa, ze zbiorów rozpraw, utworów poetyckich i fragmentów tłumaczonych dzieł, które własnoręcznie wpisywali do zeszytu poszczególni referenci, członkowie korporacji. Własnie ten protokolarz stał się podstawą źródłową interesującego artykułu Kazimierza Wardy.

„Dojazdami młodzieży do szkół ponadpodstawowych w Radomiu” zajęła się Jadwiga Senator. Przedstawiła wyniki szczegółowych badań a w komentarzu ukazała zarówno pozytywne jak i negatywne skutki tych dojazdów.

„Kronikę radomskiej psychiatrii w latach 1964—1984” spisała Barbara Borzym, biorąc za punkt wyjścia datę oddania pierwszego pawilonu szpitala w Krychnowicach, czego oczywiście nie należy utożsamiać z początkami radomskiej psychiatrii w ogóle.

Osobną część „Biuletynu” zajmują „Sylwetki zmarłych członków RTN: Michała Tadeusza Brzęk-Osńskiego — w ciepłym, serdecznym wspomnieniu Witolda Dąbkowskiego, Celestyna Chrzanowskiej-Pawłowskiej — w opracowaniu Stanisława Ośki oraz Aleksandra Czaplkiego — we wspomnieniu Jana Bratoszewskiego.

Recenzje „Biuletynu”. Jan Francki wykazuje, ile niescisłości i ewidentnych błędów może zawierać nieduże w końcu „dzieło” pióra Czesława Tadeusza Zwolskiego: „Działania armii odwodowej „Prusy” na kielecko-radomskim obszarze operacyjnym w 1939 roku”, publikowane w Roczniku Muzeum Radomskiego. Wyższość historyka Franckiego nad historykiem Zwolskim polega na dogłębnej w pierwszym przypadku a powierzchownej — w drugim znajomości tematu. I tyle. Az tyle.

„Biuletyn Kwartalny RTN” zawiera ponadto „Kronikę” oraz opracowaną przez Stefana Rota „Bibliografię prac magisterskich o tematyce radomskiej obronności na Wydziale Pedagogicznym WSP im. Jana Kochanowskiego w Kielcach w latach 1976/77 — 1983/84”, a było tych prac dokładnie sto.

nie tylko o literaturze

A może byśmy coś powołali?

Józef Rurawski

MOJA miła przyjaciółka z uczelni, Pani Docent M. Szyszkowska, biega po Warszawie cała w różowych chmurkach i skowronkach. „Wiesz” oznajmiła mi na głębokiej zadyszce — „powołaliśmy Stowarzyszenie Miłośników Poezji! Mamy lokal w Domu Kultury. I wszyscy będą mogli...”. Dalej dowiedziałem się, że odbyły się spotkania, dyskusje, wieczory przy świecach itd. Taka była przy tym pełna entuzjazmu i radości, iż podzielało to nieco zaraźliwie. Siadłem więc przy maszynie i tak oto sobie pomyślałem:

A może by coś podobnego „ruszyć” w Kielcach? A może byśmy sobie i tu coś powołali? Warunki istnieją dobre. Dwie uczelnie, związki twórcze. Piękny Pałac Zielińskiego, KTN, zupełnie świeże, jeszcze nie używane Towarzystwo im. S. Żeromskiego, miesięcznik kulturalno-społeczny. Magazyn tygodniowy, i ludzie z wiedzą i autorytetem.

A zapotrzebowanie społeczne na coś takiego jest duże. Wiem coś o tym ze swoich kontaktów z nauczycielami, szkołami itd.

Więc proponuję niniejszym powołać Stowarzyszenie Miłośników Literatury i Sztuk Pięknych! Na zasadzie absolutnej dobrowolności, bez biurokratycznej mitręgi, bez etatów i sprzątaczek.

I jeszcze wyjaśnienie nazwy: Ja wiem, że literatura to też sztuka piękna. Ale celowo wyodrębiam ją spośród innych sztuk. Choćby dlatego, że korzystanie z jej twórców nie wymaga specjalnych przygotowań, nie trzeba czekać na określoną i zorganizowaną wystawę dzieł, nie trzeba się odświeżać ubierając jak na koncert czy spektakl. Wystarczy czytać i już. Inna jest nieco sprawa z twórczością własną. Tu już trzeba pewnego przygotowania. Ale tym właśnie mogłoby się między innymi zająć nasze stowarzyszenie.

Wyobrażam sobie, iż Pałac Zielińskiego udzielałby od czasu do czasu swoich gościnnych sal na spotkania i dyskusje. „Przemiany” i „Magazyn” też od czasu do czasu zamieszczyłyby na swoich kolumnach plody twórcze członków stowarzyszenia, oczywiście wcześniej przejrane i zaakceptowane przez specjalistów. Sądzę też, że dyrekcje teatru i filharmonii nie odmówiłyby współpracy, a Salon Wystawowy przy Leśnej lub Pałac Zielińskiego wystawiałyby obrazy „niedzielnich” malarzy i rzeźbiarzy. Najważniejsza jednak sprawa, to spotkania, dyskusje, wieczory autorskie, słowem to wszystko, co może odbywać się w czterech ścianach.

Potencjalnych członków stowarzyszenia widzę wśród studentów, uczniów starszych klas szkół średnich, członków związków twórczych, a także słuchaczy Uniwersytetu III Wieku, która to instytucja pięknie się rozwija przy WSP. Sądzę także, iż takie przemieszczenie pokoleń i specjalności, wspólne dywagacje na temat sztuki, różnorodność gustów i zainteresowań, że wszystko to stawałoby się czynnikiem integrującym społeczność kielecką. O potrzebie i wadze takiej integracji nikogo chyba przekonywać nie trzeba.

Stowarzyszenie musiałoby mieć też swoją radę, w której skład wchodziłoby przedstawiciele instytucji, czasopism, ośrodków itd. Nie mogłoby wśród nich zabraknąć np. Panów red. red. Zapasy i Daniela, A. Lenartowskiego, S. Nyczaja, H. Jachimowskiego, B. Augustyniaka, B. Pasternaka i oczywiście Panów Niziurskiego i Pactawskiego. Piękna, a użyteczna ozdoba takiego gremium byłaby Pani Szyszkowska i Polańska (z Uniwersytetu III Wieku) oraz Młodziejewska (z KTN). Zresztą sprawa składu rady to jeszcze przyszłość. Wymieniłem tu jedynie przykładowo „krewnych i znajomych Królika”, jak powiadają w „Chatce Puchatka”.

Najważniejszy problem, to przekonać odpowiednich ludzi o samej idei. „Ja Wam rzucam pomysły, a Wy jego chwytajcie”, jak mawiał pewien nieodżałowanej pamięci Ekonomista...

Myślę też, iż ważną rolę mogą odegrać tu Czytelnicy „Przemian”. Będę niecierpliwie czekał na listy, wnioski, propozycje i akces do stowarzyszenia. Pora stosowna, bo to i wiosna, i Dni Oświaty i Kultury, słowem sprzyja wszystko.

Tyle tylko, że mam stale w pamięci ów znany ogólnie dialog z „Indyka” Mroźka, w którym mówi się: „A może by coś zaorać? — Eeeee! A może by coś zasiać? — Eeeee!”.

Więc piszę to wszystko póki jeszcze starcza mi zastrzykniętego przez Doc. Szyszkowską entuzjazmu. Sądzę jednak, że skoro powiodło się w Warszawie, to nie ma powodu, aby nie udało się w Kielcach. Albośmy to gorsi? Albośmy to inni? Nie będzie nam Warszawa imponować i na nosie grać. A poki co, proponuję, aby redakcja „Przemian” stała się miejscem kontaktowym, do którego należy pisać i telefonować. Sądzę, że Red. Daniel, który dowie się o całej sprawie z niniejszego felietonu, przebaczy mi zamieszczenie i dodatkową pracę. A Pan Lenartowski zacznie już ustawiać w największej sali Pałacu krzesła na pierwsze sympozjum Stowarzyszenia Miłośników Literatury i Sztuk Pięknych w Kielcach!

Czego sobie i Wam życzę!



Prosto z Wąchocka

Rys. Piotr Wellenberg

Soltys zrywa w Wąchocku wszystkie chodnikowe płyty, żeby je przegrać na nowo kupionym adapterze.

W Wąchocku na jednego mieszkańca wypada pięć samochodów... zza zakrętu.

Mają w W. kłopoty z ustalaniem pory dnia. Ktoś ukradł grabie służące do popychania słońca.

Mszę w wąchockim kościele słuchają ludzie na leżącym, bo ksiądz ma bardzo niski głos.

Mieszkańcy Wąchocka chodzą stale w kaskach. Jastrząb porwał soltysowi konia w polu i choć koń już spadł, brony ciągle krążą nad Wąchockiem.

W Wąchocku leżą kolorowy asfalt. W Starachowicach brak kisielu w sklepach z tego powodu.

Soltys Wąchocka ogłosił żałobę, bo mu się dwie świnię w kaju z karmą utopiły.

Zapowiadanie opóźnień pociągów na stacji w W. wygląda następująco: „Achtung, Achtung! Uwaga,

Uwaga. Wniamanje! Uwożjta! — pociąg relacji Skarzysko — Bodzechów jest opóźniony trzy dni. Odejżdża od toru i rozbija namioty!”

Ostatnio odgrodzono Wąchock od Starachowic gęstą siatką, żeby się głupoty nie przedostawały.

Więły tak silne wiosenne wiatry, że w Wąchocku psa obdarło ze skóry.

Zanotowano francusko-angielski dialog między soltysiem wąchockim i jego żoną. Kiedy mąż wraca z pracy, ona pyta:

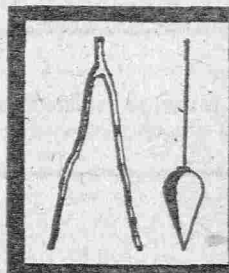
— Bedziesz żari żur?

Na co soltys:

— Jes to dej.

Pogłębiają rowy przy drodze do Starachowic, żeby ludzie z W. mogli swobodnie machać rękami.

(Nadesłali B.K. i Maria Pawłowska ze Starachowic. Honoraria wysyłamy pocztą. Wszystkich prosimy o nowe listy).



z różdżką i wahadélkiem

EDWARD SEWERYN GAJEWSKI

12.

USTALAMY RUCHY WAHADEŁKA

Czytelnicy, którzy stwierdzili u siebie zdolności radiestezyjne i przystąpili do badania czułości radiestezyjnej, powinni pamiętać, że minimum czułości potrzebnej do posługiwania się wahadélkiem, odpowiada grupie „3” — czułość średnia, 52—84 obrotów, wg tabeli podanej w odcinku nr 11 w kwietniu. Dotychczas mamy poza sobą najważniejsze i podstawowe badania indywidualne oraz pierwsze ćwiczenia praktyczne z wybieraniem odpowiedniego jedzenia. Ćwiczenia praktyczne należy wykonywać dalej, rozszerzając je na inne posiłki w ciągu dnia. Przez codzienne ćwiczenia stajemy się bardziej sprawni radiestezyjnie. Posługiwanie się wahadélkiem musi stać się codziennym zajęciem przynoszącym pożytek. Będziemy więc badać przede wszystkim codzienne jedzenie.

Przed przystąpieniem do jedzenia należy sprawdzić radiestezyjnie — wahadélkiem, przydatność posiadanych produktów na każdy posiłek, ponieważ potrzeby naszego organizmu są inne (śniadanie, obiad, kolacja) o różnych porach dnia. Musimy wiedzieć (!) czy dany produkt jest świeży czy nie (toksyczny) i jaką ilość możemy zjeść w jednym posiłku. Szczególnie ważne jest sprawdzenie ilości potrzebnego jedzenia dla osób chorych. Należy pamiętać o codziennym badaniu produktów — żywnościowych przechowywanych w lodówce, ponieważ po paru dniach mogą ulec zepsuciu — pojawiają się bakterie chorobotwórcze, wywołujące zatrucie przewodu pokarmowego albo inne choroby (dur brzuszny) groźne dla zdrowia ludzi szczególnie w okresie letnim. Radiesteta przed przystąpieniem do badania zawsze myje ręce w ciepłej wodzie z mydłem, a płucze w zimnej!

Wahadélko zawsze (!) należy nosić przy sobie w skórzanym pochwicie, ponieważ w czasie kiedy nie jest używane, nie powinno być wystawiane na działanie światła dziennego i oświetlenia elektrycznego. Podczas pracy (badania) robimy krótkie przerwy by zapisać wynik bądź wymienić produkt (jedzenie) na inny. Po każdym skończonym badaniu odstukujemy (!) wahadélko przez lekkie dotknięcie (nieparzysta ilość razy np. 3, 5 itd. — najlepiej tylko 1 raz) do jakiegos przedmiotu drewnianego

(stół, szafa, podłoga itp.). Jeżeli jesteśmy poza mieszkaniem, dotykamy ziemi, trawy lub konaru drzewa w celu zrzućcia nagromadzonych w czasie badania dodatnich ładunków. Podczas każdej krótkiej przerwy trzymamy wahadélko w lewej dłoni ogrzewając je temperaturą własnego ciała. Wahadélko ciepłe i napromieniowane biopolem radiestety bez porównania lepiej pracuje. **NALEŻY ZAPAMIĘTAĆ (!) NA CAŁE ŻYCIE, ZE WŁASNEGO WAHADEŁKA I INNYCH WAHADEŁEK ORAZ RADIESTEZJNYCH PRZYZRĄDÓW POMOCNICZYCH NIGDY I NIKOMU (!) NIE NALEŻY POŻYCZAĆ A NAWET DAWAĆ DO REKI.** Zasada ta chroni nas i nasze przyrządy radiestezyjne od wpływu (remanencji) obcego biopola, które może spowodować nawet długotrwałą złą pracę wahadła i mylne wyniki badań. Czytelnicy powinni pamiętać, że przeprowadzając badania radiestezyjne w domu, należy mieć swoje miejsce i stół drewniany ustawiony tak, żeby można było siedzieć twarzą zwróconą w kierunku zachodnim (!) a na stole powinny znajdować się tylko potrzebne przedmioty, z których rzysać będziemy podczas badania.

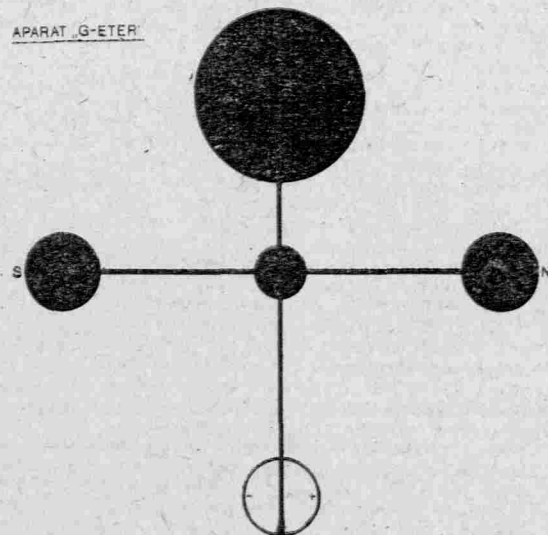
Żeby ułatwić lepsze poznanie ruchów wahadła i ustalić dla wszystkich jednakowe wskazania

wahadélka na „TAK” i na „NIE”, przedstawiam Czytelnikom do wykonania (na arkuszu bloku techn.) i używania podczas przeprowadzanych badań radiestezyjnych, opracowany przeze mnie mentalny przyrząd radiestezyjny, który nazwałem „G-ETER”.

Przyrząd ten pracuje w układzie N-S i tylko tak go należy ustawiać do badań! Ponieważ „G-ETER” promieniuje biłą (B), służy on jednocześnie jako odpromiennik miejsca, w którym radiesteta przeprowadza badanie i korzystnie działa na badającego. W innym układzie działa niekorzystnie. Rysunek wykonujemy tuszem czarnym przy pomocy grafionu i cyrki. Linie krzyża tworzą kąt 90 stopni. Długość linii 210 mm, szerokość linii 2 mm. W miejscu skrzyżowania linii rysujemy koło o średnicy 21 mm. Duże koło ma średnicę 70 mm, pozostałe trzy koła małe mają średnicę 31,4 mm. Jedno z tych małych kół jest nie czernione, oznaczone tylko znakami „—” i „+”, okrąg tego koła ma grub. 1 mm. Wszystkie koła na liniach (ramionach) krzyża mają swoje środki w odległości promienia (r) od końca linii. Produkt badany lub jego próbkę (tzw. świadek) kładziemy na dużym polu (duże koło), środkowy palec lewej dłoni wyprostowanej lekko lub palec wskazujący (dłoń zamknięta) kładziemy na polu „— +”, a wahadélko trzymamy nad czarnym polem w środku krzyża na wysokości 4—7 cm. Mentalnie stawiamy pytanie i po chwili otrzymamy odpowiedź. Ruch oscylacyjny wahadélka łączący czyli ruch w linii od dużego pola do naszej ręki (do nas) będzie oznaczał „TAK”, a ruch oscylacyjny wahadélka dzielący tę linię (wahanie wzdłuż linii N-S) będzie oznaczał „NIE”.

Szerzej o zastosowaniu przyrządu „G-ETER” napiszę za miesiąc.

APARAT „G-ETER”



apteka natury (50)

Redaguje
lek. med. JADWIGA GÓRNICKA,
specjalista chorób wewnętrznych

ZELAZO (I)

ZELAZO (Fe) jest najpospolitszym metalem ciężkim. W ustroju człowieka o wadze 70 kg występuje 4,2 g żelaza. W błonie śluzowej jelita znajduje się białko apoferrytyna, która łączy się z żelazem i przechodzi w ferrytynę, z której uwalniane żelazo przechodzi do krwi. Żelazo służy do syntezy hemu, ale obecność ołowiu w organizmie wywołuje zaburzenia w tej syntezie.

Żelazo występuje w produktach roślinnych najczęściej w formie kompleksowej z alifatycznymi hydrokwasami (fenole, tiole, wielocukry, polinukleotydy, peptydy, aminokwasy), a w produktach zwierzęcych w połączeniu ze specyficznymi substancjami kompleksotwórczymi jak apotranferrytyna, nukleoproteidy, kwasy żółciowe, kwasy organiczne. Szczególne znaczenie mają proteidy hemowe, a z nich najważniejsze są hemoglobina i mioglobina. Przy niedoborze potasu, żelazo ma niekorzystny wpływ na krążenie limfy w naczyniach, węzłach chłonnych i gruczołach limfatycznych, które wówczas nabrzękują. Od tej dolegliwości można uwolnić się popijając ocet jabłkowy wg moich przepisów.

Żelazo występuje w wielu produktach roślinnych i zwierzęcych, a najbogatsze w ten pierwiastek są: pietruszka, orzechy, produkty zbożowe z żyta i owsa, migdały, owoce strączkowe, b. dobrym źródłem Fe są tzw. podroby (wątroba, ożór, nerki), sliwki suszone, rodzynki, żółtko, drożdże, kakao. Dla lepszego przyswajania Fe można brać witaminę C w ilości 0,5 g dziennie, ale pod warunkiem, że pacjent nie choruje na nadkwasotę.

Żelazo jest biopierwiastkiem niezbędnym dla wszystkich organizmów żywych. W hemoglobinie i mioglobinie jest podstawowym pierwiastkiem służącym do transportu i do kumulowania molekularnego tlenu. Żelazo zawarte w enzymach bierze udział w przemianach aerobowych (procesy biochemiczne z udziałem tlenu pochodzącego z atmosfery).

Na ok 5 g Fe w organizmie ludzkim, w hemoglobinie znajduje się 65–70 proc., w mioglobinie 8–10 proc. Dzienny pobór Fe winien wynosić 10–15 mg, jednak faktyczne zapotrzebowanie organizmu wynosi najwyżej 1 mg, z czego tylko ułamek miligrama jest wchłaniany.

Zapotrzebowanie na żelazo zmienia się u ludzi w zależności od wieku i np. niektórych chorób (złe wchłanianie). Do prawidłowego przyswajania Fe potrzebne są ślady miedzi. Dziennie zapotrzebowanie na żelazo wynosi: niemowlęta 6–15 mg, dzieci do lat 12 – 10 mg, młodzież 12–18 lat 18 mg, po 18 roku życia – 10 mg, kobiety podczas ciąży i laktacji – 18 mg. Żelazo kumulujące się w tkankach staje się toksyczne (powyżej 100 mg) zaś poniżej 1 mg powoduje choroby. W zwykłej diecie codzienne spożycie wynosi 10–20 mg Fe z tego przyswaja się mniej, niż 10 proc. Niemowlęta i dzieci wchłaniają z pożywieniem większy procent żelaza niż dorośli.

Niedobór żelaza (syderopenia). Kobiety chorują częściej na niedobór żelaza, niż mężczyźni. Dzieci z niedoborem żelaza uczą się źle, są stale zmęczone, mają niezdrową cerę, narzekają na bóle głowy, mają oddech krótki i szybki, łatwo popadają w gniew, cierpią na zaparcia, wzdęcia, nudności, mdłości, wypadanie włosów, łamliwość paznokci, zająady w kącikach ust. Niedobór Fe powoduje anemię z powo-

du krwawienia wewnętrznego np. nerek. Stwierdza się wtedy drętwienie mrowienie np. w rękach, nagłe bicie serca, niezdrowy połysk oczu i skóry. Niedobór Fe działa hamująco na powstawanie przeciwciał, co ulega pogorszeniu, gdy do ustroju wprowadza się nadmiar wapnia i cukru. Niedobór Fe sprzyja rozwojowi nowotworów, gdyż żelazo jest centralnym jonem niektórych koenzymów białych części składowa białków kompleksowych.

Przyczyny niedoboru żelaza mała aktywność fizyczna, niedojadanie, nadmierne spożywanie białego rafinowanego cukru, soli, białego pieczywa, nieumiejętne odchudzanie się, nadmierne stosowanie diety mlecznej zawierającej mało Fe, dieta uboga w mięso, a bogata w produkty mączne, niedostateczne wchłanianie Fe z powodu ciężkiej biegunki lub dużych strat krwi. Zakłócenia we wchłanianiu żelaza mogą być dziedziczne. Mogą być również skutkiem chirurgicznego usunięcia żołądka lub rozległej resekcji jelit, co powoduje brak kwasu solnego. U chorych którzy nie tolerują lub nie wchłaniają Fe podawanego doustnie stosuje się preparaty z żelaza dożylnie lub domięśniowo.

Gdy przyswajanie Fe jest normalne i gdy stosuje się prawidłowe zestawy produktów spożywczych, wystąpienie niedoboru Fe u dorosłych jest mało prawdopodobne. Przeciwna utrata krwi u kobiet w czasie miesiączki, wynosi ok. 70 ml, co daje stratę Fe do 28 mg. Taka ilość Fe może być uzupełniona z normalnym pożywieniem.

Przyczyna niedoboru Fe może być także zbyt silny rozkład czerwonych ciałek krwi przez toksyny, przebywanie z dala od naturalnego światła i świeżego powietrza, popijanie gorących płynów o temperaturze powyżej 45 st. C, przebywanie w szkodliwych warunkach.

Na uzupełnienie niedoborów żelaza proponuję następujące leki naturalne:

1 Codziennie jeść natkę pietruszki i koperkę do kanapek i salatek.

2 Pić przygotowane w mikserze, soki ze szpinaku, marchwi, pokrzywy, inniższka pospolitego.

3 Pół szklanki przygotowanej ciepłej wody + łyżeczka miodu + dwie łyżeczki octu jabłkowego. Pić raz dziennie.

4 Przy częstej utracie krwi popijać wywar ze skrzypu (2 łyżeczki ziela na dwie szklanki wody; gotować 4 min.).

5 Latem stosować pokrzywę zmieszaną z dodatkiem cukru lub sok z pokrzywy z miodem. Dzieciom dawać 2 łyżeczki, niemowlętom 1 łyżeczkę, dorosłym jedną łyżkę dziennie.

6 Sproszkować nasienie kozieradki, siemienia lnianego i liść pokrzywy, jedną łyżkę proszku wymieszać z dwiema łyżkami miodu i brać dwa razy dziennie po jednej łyżeczce.

7 Mieszanka: liść czarnej porzeczki – 20 g, kwiat głogu – 60 g, owoc dzikiej róży – 20 g. Jedną łyżeczkę tej mieszanki zalać szklanką zimnej wody na noc, rano zagotować i popijać 2 razy dziennie po 2 łyżki po jedzeniu.

8 Zielie tysiącznika, zielie piołunu, liść bobrka trójlistnego – 2 łyżki ziół zalać 2 szklankami zimnej wody na noc, rano zagotować, przecedzić i popijać na czczo oraz przed snaniem.

9 1–2 razy dziennie brać 15–20 kropli 10-proc. propolisu na wodzie. W razie uczulenia na propolis – leczyć niedomogi wątroby przez dwa miesiące.

(Dokończcie za miesiąc)

DNI RENESANSU organizowane będą z inicjatywy Rady Wojewódzkiej PRON w Radomiu, co dwa lata w Czarnolesie, w miejscowym muzeum Jana Kochanowskiego. „Dni”, które po raz pierwszy odbędą się w czerwcu br., zamierzone są jako impreza ogólnopolska, przyciągająca badaczy i popularyzatorów epoki, a przede wszystkim idei odrodzenia.

KIELECKIE TOWARZYSTWO NAUKOWE podsumowało kadencję i wybrało nową władzę. Prezesem wybrano doc. dr hab. Stanisława Cieślińskiego. KTN skupia 464 członków, w tym 10 zbiorowych, pracujących w dziewięciu sekcjach. Naktadem KTN ukazuje się kwartalnik „Studia Kieleckie” i „Rocznik Świętokrzyski”, a także wydawnictwa nieperiodyczne, przynoszące wyniki prac związanych z regionem. Towarzystwo było organizatorem wielu sesji i sympozjów naukowych i popularyzujących różne dziedziny wiedzy. W fatalnych warunkach (dwa pokoiki, łącznie 40 m kw.), pracuje biuro KTN, w którym mieści się administracja, dział wydawnictw, biblioteka, magazyn wydawnictw własnych, archiwum i Pracownia Badań Regionalnych. Podczas walnego zebrania sprawozdawczo-wyborczego godność członka honorowego nadano długoletniemu prezesowi Towarzystwa, prof. dr hab. Zdzisławowi Czarnemu.

W RADOMIU powstała nowa placówka naukowa — Międzyresortowe Centrum Naukowe Eksploatacji Majątku Trwałego, które znalazło siedzibę w WSI i będzie współpracować z tą uczelnią. Dyrektorem Centrum został doc. Krzysztof Szezechak.

Z OKAZJI Międzynarodowego Dnia Teatru władze Kielc i Radomia spotkały się z pracownikami miejscowych scen, którzy stali się adresatami życzeń i gratulacji. Zawsze pełnej widowni i zadowolenia z pracy — to życzenia od „Przemiań”.

TYTUŁ profesora nadzwyczajnego nauk medycznych nadała Rada Państwa doc. dr hab. Stanisławowi Kobie, kierującemu kielecką Katedrą Nauczania Klinicznego Akademii Medycznej w Krakowie.

W RAMACH XIII Radomskiej Wiosny Literackiej organizowany był po raz trzeci Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O dżban czarnoleskiego miodu”. Na konkurs upłynęło ponad 900 utworów. Jurę pod przewodnictwem Krzysztofa Gasiorowskiego przyznało następujące nagrody: I — Marek Czuku z Łodzi, II — Marian Lech Bednarek z Wodzisławia Śląskiego, III — Andrzej Skiba z Jeleniej Góry, IV — Jerzy Stasiak ze Szczecina oraz wyróżnienia: Rafał Jaworski ze Stawkowa, Adam J.

Markiewicz z Wrocławia, Aleksandra Pesta z Lublina i Andrzej Cezary Sawczenko z Łodzi.

LAUREATAMI konkursu na wspomnienia „Pamiętniki kielczan” zostali: Aleksander Rokicki z Kielc, Edward Łakomicz z Wrocławia, wyróżniono Piotra Szczepanka, Jadwigę Henl, Eleonorę Zagrodzką, Krystynę Górniak, Bogdana Rustarza — wszyscy z Kielc oraz Kazimierza Muchowskiego z Ostrowca.

KONKURS MŁODYCH PIANISTÓW „NAD KAMIENIA” odbył się po raz czwarty w Skarżysku. Uczestniczyli przedstawiciele wszystkich szkół muzycznych kieleckich. Laureatami kolejnych nagród zostali: Aleksandra Szymańska z Kielc, Dariusz Stokowiec z Kielc i Sybilla Gabzdyl ze Starachowic, a wyróżnione zostały: Anna Sorn z Końskich i Edyta Stojek z Ostrowca.

SESJA „Studentki i studenci w służbie regionu” odbyła się w Kielcach. Sluchacze Wyższej Szkoły Pedagogicznej prezentowali swój dorobek, będący m.in. pokłosiem licznych obozów naukowych. W Domu Środowisk Twórczych została pokazana wystawa wydawnictw i opracowań przygotowanych przez studentów.

SYMPOZJUM „Ład moralny podstawą odrodzenia narodu” zorganizował Oddział Wojewódzki PAX w Kielcach.

FORUM dyskusyjne „Audytarium” powstało w Kielcach z inicjatywy Rady Wojewódzkiej PRON. Na inauguracyjnym spotkaniu obecny był prof. Jaręma Maciszewski, poseł ziemi kieleckiej rektor ANS.

TWORCY LUDOWI ziemi radomskiej zrzeszeni w istniejącym od dziesięciu lat Oddziale STL, mówili o swoich sprawach na swoim IV Zjeździe Wojewódzkim. Oddział liczy 63 członków i 75 kandydatów. Zjazd wybrał nową władzę, a prezesem został Władysław Gubała.

NOWY kwartalnik będzie wydawany w Kielcach: poradnik metodyczny dla nauczycieli „Język polski w szkole średniej” wzorowany na ukazującym się od ponad ćwierćwiecza podobnym poradniku dla nauczycieli klas IV—VIII, poszukiwaniom i ceniogom w całym kraju.

W „ZACHECIE”, na I Ogólnopolskiej Wystawie Malarstwa i Grafiki Członków Związku Polskich Artystów Malarzy i Grafików prezentowali, wśród czterystu twórców, swoje prace rado-

mianie: Zdzisław Doleżyński, Tadeusz Hajnych, Halina Krysińska, Jerzy Likowski i Adam Rosko-wiński.

DYPLOM-86, wystawę uczniów PLSP w Kielcach pokazywała Galeria BWA „Piwnice”. Uwagę zwiedzających przyciąga replika — epoksydowy odlew — stynnych drzwi płockich wykonana pod kierunkiem Jana Niedbała i Czesława Zagdana.

WYŁONIONO laureatów wojewódzkich eliminacji XXXI Konkursu Recytatorskiego w Kielcach. W poszczególnych kategoriach zwyciężyli, kwalifikując się zarazem do przeglądu międzywojewódzkiego: w kategorii młodzieży dwa pierwsze miejsca zdobyli Katarzyna Boberek z Ostrowca i Renata Stachowicz z Buska, a II — Piotr Rzońca ze Skarżyska, w turnieju poezji śpiewanej: I — Renata Stachowicz, II — Anna Kwiatkowska ze Skarżyska. W turnieju teatrów jednego aktora: dwie równorzędne nagrody pierwsze — Renata Robak z Kielc i Artur Kręzel z Końskich.

W OSTOJOWIE, w miejscowej szkole podstawowej, odbył się Konkurs Recytatorski im. Wandy Łyczkowskiej, patronki szkoły. Startowali przedstawiciele ośmiu szkół. zwyciężyła Lucyna Gańczarczyk, uczennica VIII klasy szkoły w Ostojowie.

X DNI MUZYKI KAMERALNEJ zorganizowało w Radomiu Stowarzyszenie „Jeunesses Masicales”.

FINAL XI Olimpiady Wiedzy Społeczno-Politycznej odbył się w Kielcach z udziałem 225 uczestników z całego kraju. W kategorii osób z wyższym wykształceniem zwyciężył kielczanin, Marek Banasik, st. projektant w „Miastoprojekcie”.

OGÓLNOPOLSKIE BIENNALE FOTOGRAFICZNE „BEZPIECZNA DROGA — KIELCE-86”

Zarząd Okręgowy PZMot, „Echo Dnia”, Oddział PZU oraz Okręg Świętokrzyski ZPAF ogłaszają pierwsze Ogólnopolskie Biennale Fotograficzne „Bezpieczna droga — Kielce-86”, mające charakter konkursu adresowanego do wszystkich fotografujących. Nadsyłać (adres: ZPAF, Okręg Świętokrzyski ul. Rewolucji Październikowej 8/6, 25-512 Kielce) dowolną liczbę prac czarno-białych lub kolorowych związanych z zagadnieniami bezpieczeństwa ruchu drogowego. Format nie mniejszy niż 24x30 cm, wglądówki zbędne. Termin: 30 czerwca br. Na zwycięzców czekają nagrody pieniężne i rzeczowe.

BIOPOWINOWACTWO, BIORYTMY

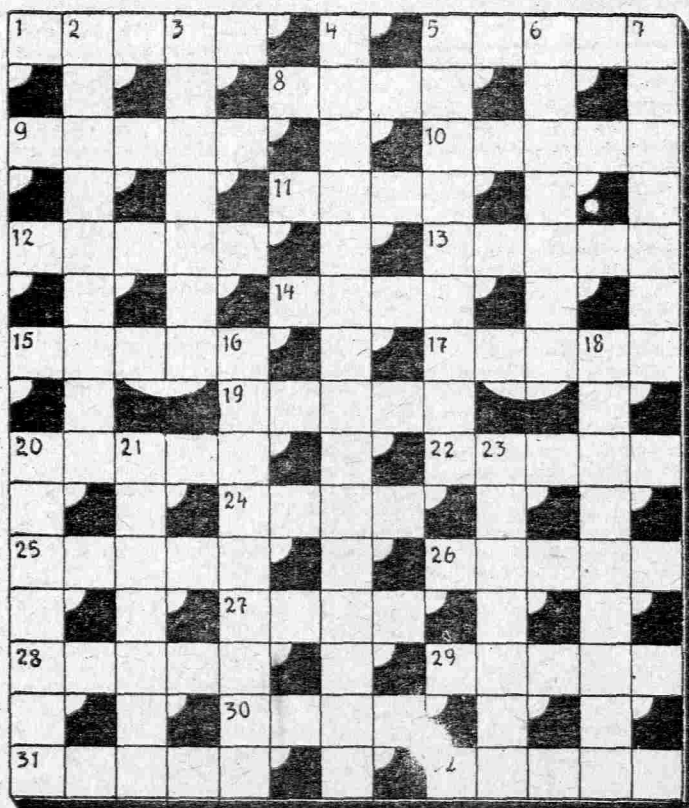
Bielsko-Biała, skrytka 168. Prześlij datę urodzenia swoją lub partnerów.

POZIOMO:

- 1) do dzielenia na niedźwiedziu
- 5) wykryty przez M. Skłodowską-Curie
- 8) na nim rękę trzymasz — jesteś w kursie spraw
- 9) zakamuflowana wiadomość
- 10) na szwedzkim brzegu, dokąd zawija prom ze Swinoujścia
- 11) wojłok lub kutner
- 12) na świnta podrozały prosinta
- 13) tłum
- 14) Christiania dzisiaj
- 15) nie każdego człowieka zdobi
- 17) wielki powój w podzwrotnikowym lesie
- 19) z „Radostowej”, gdzie się przelewa rzeka mleka
- 20) znaczne nagromadzenie
- 22) Gustafsson (Garbo)
- 24) Mururoa
- 25) muszla z deską
- 26) triangulacyjna — wiertniczej nie zastąpi
- 27) kwarc szlachetny
- 28) Saski przy placu Zwycięstwa
- 29) stolica nad Wilią
- 30) straszna praca, straszna ryba
- 31) Grotter lub Sandauer
- 32) od drzewa niższy.

PIONOWO:

- 2) miara odchylenia krzywej od prostej
- 3) dział urzędu
- 4) wielkie imię i nazwisko w naszej poezji
- 5) znawca charakterów ludzkich
- 6) światło z kieszeni
- 7) kilogramy do zrzućcia, na zdrowie
- 16) przedstawiciel państwa akredytowany przy rządzie innego państwa
- 18) nasilenie
- 20) jej funkcja: przeszkadzać w widzeniu
- 21) główny krajowy surowiec dla hut żelaza, czyli polska ruda
- 23) szczyt Gór Kaskadowych w USA lub książę Monaco.



K R Z Y Ż Ó W K A 185

Termin nadsyłania rozwiązań — 15 kwietnia 1986 r. Losujemy 500-złotowy bon oszczędnościowy PKO. Pod adresem redakcji („Przemiany”, 25-366 Kielce, ul. Śniadeckich 2) prosimy dopisać: KRZYŻÓWKA 185.

Rozwiązanie krzyżówki 184

Poziomo: ikrzak, minuta, psychoterapia, ryza, Antygona, Ina-

ri, Zeiss, obalenie, ucho, post — mantyzm, rewanż, hejnał.

Pionowo: Kiepusza, przyczynkarstwo, jacht, Wierzynek Kurpiowszczyzna, parawan, Stone, przegrana, podpora, firma, formuła, śnieg.

NAGRODĘ (500-złotowy bon PKO) wylosowaliśmy dla Władysława Flaka. Lubelska 12/15, 26-900 Ko...

Książki nadesłane

„Baśnie i legendy Wysp Brytyjskich”. Przekład zbiorowy. Warszawa 1985 NK. cena 390 zł. Zagadkowy świat baśni, legend i podań, zapewniony postaciami o egzotycznie brzmiących imionach, pozostał współczesnym Brytyjczykom w spadku po Celtach. Zbiór przynosi baśnie i legendy angielskie, szkockie, walijskie i irlandzkie, niektóre znane nielicznym z przekładów „Pieśni Ojśana”, w których głównymi motywami są miłość, lojalność, poszanowanie tradycji.

STANISŁAW BURKOT: „Stanisław Młodożeńiec. Rzecz o chłopstwie i futurystyce”. Warszawa 1985. LSW. cena 80 zł. Pierwsza pozycja z nowej serii Portrety Pisarzy Chłopskich, prezentuje sylwetkę urodzonego w Dobrociach pod Sandomierzem (1895–1959) Stanisława Młodożeńca, poety, prozaika, publicysty i działacza społecznego, współtwórcy polskiego futuryzmu.

KAROL OLGIERD BORCHARDT: „Szaman Morski”. Gdańsk 1985 WM. cena 300 zł. Zbiór opowiadań o tematyce morskiej, w których autor przypomina życie codzienne i niezwykle wydarzenia załóg siedmiu polskich przedwojennych transatlantyków. Głównym bohaterem większości opowiadań jest legendarny kapitan Eustachy Borkowski, zwany „Szamanem Morskim”.

JOZEF CEYNOWA: „Dobro zwycięża”. Legendy z Kaszub i Pomorza Gdańsk 1985 Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. cena 200 zł. Zbiór legend i opowieści związanych z wieloma miejscowościami i obiektami położonymi na kaszubskim pobrzeżu i nad jeziorami, w Kociewiu i samym Gdańsku.

„Opowieść o trwaniu Kaszub”. Gdańsk 1985. Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. cena 150 zł. Zbiór powstałych w kilku ostatnich latach reportaży różnych autorów, których tematem są Kaszuby. Książka opowiada o regionie, jego swobodnym kolorystyce, cechach wyróżniających, powikłanych dziejach i zachodzących tu współcześnie przeobrażeniach.

Rzeźbiarska przygoda Jerzego Krześniaka



ZACZĄŁ tak, jak wielu innych. Od rzeźbienia dla siebie. I tylko najbliżsi wiedzieli... Wstydliwie krył swoje prace, zanim odważył się je po raz pierwszy publicznie pokazać na przeglądzie twórczości ludowej w kozienickim Domu Kultury.

A potem zafascynowała młodego twórcę (rocznik 1953) z Kozienic rzeźbiarska przygoda. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Jerzy Krześniak wziął udział w czternastu konkursach, zdobywając liczne nagrody i wyróżnienia oraz w jedenastu plenerach. Przegląd jego dziesięcioletniego dorobku zaprezentowano niedawno na indywidualnej wystawie w Muzeum Wsi Radomskiej. Droga twórcza: od pierwszych, niepolichromowanych jeszcze trochę nieporadnych, choć już sygnalizujących talent autora prac („Kowal”, „Kapeła”) po wspaniałe, monumentalne rzeźby i płaskorzeźby o soczystych, agresywnych kolorach, z bogatą, dynamiczną akcją i — mnóstwem postaci („Ocepiny” — właśnie w tej płaskorzeźbie doliczono się aż 70 postaci, „Procesja”, „Kulig”, „Wyścigi ranne z kościoła na urodzaj”).

Świat dawnych zwyczajów i obrzędów, historycznych bądź legendarnych wydarzeń, obrazów z życia wsi, charakterystycznych typów wiejskich. Wśród dzieł o tematyce sakralnej na szczególną uwagę zasługuje 14 stacji Drogi Krzyżowej.

Okolo 60 prac Jerzego Krześniaka powiększyło zbiory Muzeum Wsi Radomskiej. Jego rzeźby i płaskorzeźby znalazły się także w muzeach Torunia, Lublina, Kielc oraz w prywatnych kolekcjach w kraju i za granicą.

□
(jut)

Fot. BARBARA POLAKOWSKA

KUSZENIE EWY

„Cnotliwa po prababce, po
dziadku leniwa i chcąc nie
chcąc owoc grzechu niecieka-
wy zrywa”.

TAK Kazimiera Hakowiczówna ironiczno-humorystycznie aktualizuje biblijny temat w swym wierszu „Ewa”. Rajske tematy często były w dziejach sztuki pretekstem do prezentowania różnorodnych form życia ziemskiego a nieraz wyrazem jakże bogatych i złożonych stanów ducha dwójga podobnych a zarazem odmiennych przedstawicieli homo sapiens.

Nazywano ich różnie: Adam i Ewa, Abelard i Heloiza, Tristan i Izolda, Romeo i Julia... Bardzo różnie też ich w plastyce przedstawiano, chociaż przyznać trzeba, że więcej szczęścia miała pięć piękna poczynając od najstarszych wizerunków w formie figurek: Wenus z Willendorfu, z Lespugue, z Brassempouy sprzed około trzydziestu tysięcy lat.

„Kuszenie Ewy” — kameralna rzeźba Haliny Stawowy-Micek, odlana w brązie, jest wyrazem



HALINA STAWOWY-MICEK — „Kuszenie Ewy” (brąz).

Repr. TADEUSZ JAKUBIK

Exemplarz Obowiązkowy
w Kłoboczu

jednoznacznie niedookreślonej sytuacji (kto tu kogo kusi?!). W pracy tej podkreślona jest fizyczna tożsamość płci figur i relacje między nimi. Przywołanie jako środka wyrazu starej rzeźbiarskiej zasady non finito (umyślnego niedokończenia) do autorskiego opracowania brązowego odlewu wykorzystano tu do zderzenia misternie polerowanych detali formy z ciemno patynowaną powierzchnią monumentalizowanych brył. Funkcjonalna deformacja anatomii postaci podkreśla dominujące walory fizycz-

nej urody różnej dla kobiety i mężczyzny. Przywołałem tu steatopygiczne figurki Wenus nie tylko z powodu podobieństw formalnych, lecz także by przywołać wartości, które nie odeszły wraz z matriarchatem a w prezentowanej rzeźbie w sposób subtelny i... demokratyczny rozdzielone zostały pomiędzy kobietę i mężczyznę. I tym razem nierozdzielność idei i formy w plastyce została potwierdzona.

MARIAN RUMIN